ŻYCIE

Cena 9 d.

„Life"
Catholic Fortnightly

KATOLICKI DWUTYGODNIK RELIGIJNO SPOŁECZNY

Rok II | Londyn, 2 maja 1948. | Nr. 18/51

Piotr KMITA

„DWAJ LUDZIE WE MNIE"

STWIERDZILIŚMY, że człowiek współczesny choruje na *atrofię* (zanik) *sumienia* i że zatarła się w nim świadomość istoty grzechu. Naszkicowane ideologie wskazują nam źródła tej atrofii. Gdy ktoś wmawia w siebie planowo i konsekwentnie, że nie jest zły, tylko chory, albo że grzech jest objawem rasowego zwyrodnienia, a więc czymś obcym i szkodliwym dla nieskalanych ras, gdy ktoś wchłania tę „dobrą nowinę" wszystkimi porami dzięki planowej i zorganizowanej propagandzie, która celowo zagłusza w nim wszelki odruch niezależnej myśli, to w końcu sam zaczyna wierzyć, że tak jest, daje za wygraną i roztapia się w masie. Ten ostatni zabieg dyktuje mu nowy światopogląd, gdyż *nic tak nie broni przed gwałceniem natury, jak pełna osobowość. To też pierwszym symptomatem rozpoznawczym ideologii które budują „nowy ład" wbrew prawom natury jest nieubłagana walka z jednostką i systematyczne miażdżenie jej samoistności w moździerzu zglajszaltowania.* Wszak wiedzą, że grozi im nie tyle wróg ościenny, ile *człowiek redivivus.* Niechby obudziły się z letargu otumanione miliony, niechby w tych milionach odnalazł własną identyczność, a mity totalne opadły by same, jak strzępy żagli, które wiatr przestał wydymać.

To też narodom o mocnym poczuciu wartości jednostki totalizm nie zagraża, lub co najwyżej jako przejściowa gorączka. Michelet, ten mistrz genialny skrótów, pisze: „Anglia to imperium, Niemcy to rasa, Francja to osoba." (La France c'est une personne.") Sądzę, że nie sposób znaleźć trafniejszego określenia. I dlatego może, że Francję z taką precyzją wyszlifowała poprzez wieki wiedza o człowieku, „tej trzcinie myślącej" — „ni to anioł, ni to bestia" — grasująca dziś nagminnie atrofia sumienia grozi jej mniej, niż innym narodom, gdyż znajduje ją dziwnie uodpornioną. Co więcej: nawyk introspekcji i autoanalizy, pasja dociekań psychologicznych grożą jej raczej innym niebezpieczeństwem, przeczuleniem sumienia i wyolbrzymieniem zasięgu moralnego zła. Z natury swej Francuz jest o wiele bardziej Jansenistą niż Nietzscheanistą. Będzie raczej do przesady grzebać w kłębowiskach żmij, niż pozwoli w siebie wmówić, że grzech nie jest grzechem, i że złe nie jest złem.

Wystarczy więc zostawić człowieka samemu sobie, dać mu odrobinę samotności i czasu na refleksję, żeby stwierdził, że coś w nim niedomaga, że panuje w nim dziwny a tragiczny rozdźwięk, że są w nim dwaj ludzie, dwa „ja," jedno głębokie i dobru sprzymierzone, drugie hałaśliwe, rozpanoszone i co chwila paktujące ze złem. Nikt zwięźlej i jaśniej nie ujął tego konfliktu jak Paweł Apostoł w liście do Rzymian:

„... Albowiem co czynię, nie rozumiem; bo nie co dobrego chcę, to czynię, ale złe, którego nienawidzę, to czynię... Bo wiem, że nie mieszka we mnie, to jest w ciele moim, dobre. Albowiem chcieć przy mnie jest, ale wykonać dobregonie znajduję. Bo nie czynię dobrego, które chcę, ale złe, którego nie chcę, to czynię..." (Rzym. VI).

Kto chce? Kto czyni? Dwaj ludzie, dwa „ja." Skąd bierze się to rozdwojenie? Gdzie moje „ja" istotne?

W swoim pięknym szkicu „O Wierze," pisanym w niewoli, Jacques Rivière stwierdza, że grzech pierworodny właściwie nie jest tajemnicą gdyż każdy z nas aż nadto nosi nań w sobie dowodów. On to powaśnił nas z własną duszą stworzoną na obraz i podobieństwo Boże. On nas rozdwoił, tworząc sztuczne, powierzchowne „ja," które z naszym „ja" głębokim nie ma nic wspólnego. Iluż ludzi żyje i umiera, nie odnalazłszy własnej duszy? A wszakże już *tutaj* ona nas sądzi, nim *tam* będzie sądzić nas Bóg. Tym trybunałem duszy jest sumienie.

Ciężko jest patrzeć w siebie i stwierdzać własne skażenie. Tym ciężej im bardziejśmy bezradni. Zostawieni własnym siłom nie możemy sprostać złu. „Chcieć przy mnie jest, ale wykonać dobrego nie znajduję..." To gorzkie wyznanie otwiera dwie drogi: w rozpacz lub w misterium odkupienia. Iż zaś człowiek nie rad karmi się rozpaczą — nie każdego Nietzscheanistę stać na śmierć Nietzschego! — tedy zwolna i zręcznie weksluje na inny tor, czystej negacji. „Grzech jest zbyt ciężki, bym go udźwignął: *ergo nie ma grzechu.*" Oto pokusa, którą w kształcie różnolitym bez przerwy podsuwa

DOKOŃCZENIE NA STRONIE 8

Na miesiąc Maryi



Fragment obrazu N. Barbino (1832–1891) Foto Alinari, Roma-Firenze

KRÓLOWA POKOJU

DO CZYTELNIKÓW

Jesteśmy zmuszeni przejściowo *zamienić ŻYCIE z tygodnika na dwutygodnik.*

Decyzję powzięliśmy po głębokiej rozwadze i szczegółowej analizie trudności, w jakich znalazło się nasze pismo.

Nie chcemy ukrywać, że sytuacja materialna ŻYCIA jest bardzo ciężka. Czytelnikom, którzy po wielokroć wspierali nas Swą pomocą moralnie i materialnie, winniśmy kilka słów wyjaśnienia:

Mamy za sobą blisko rok działalności. Od pierwszej chwili walczyliśmy z dużymi trudnościami, ale wbrew nim potrafiliśmy wydać — jak dotąd — 51 *numerów. Zachętą do wytrwania było poczucie, że pismo nasze jest potrzebne. Świadczyło o tym przyjęcie, z jakim spotkaliśmy się nie tylko w Wielkiej Brytanii, ale także w innych krajach emigracji, przede wszystkim wśród Polaków w Niemczech.*

Niestety, mimo wzrastającej stale poczytności ŻYCIA, czego najlepszym dowodem są napływające zamówienia, nie potrafiliśmy pismu zapewnić trwałych podstaw materialnych, a to z przyczyn będących poza nami.

Pierwszą z nich — to niemożność uzyskania transferu *naszych należności z Niemiec, dokąd wysyłaliśmy lwią część nakładu ŻYCIA.*

Druga przyczyna jest następstwem niekorzystania przez nas z takiego przydziału papieru, — *mimo rozlicznych starań* — któryby pozwolił zwiększyć nakład na Wielką Brytanię, *gdzie zapotrzebowanie przewyższa* kilkakrotnie *nasze możliwości.* Zwiększony nakład ŻYCIA na tutejszym terenie zrekompensowałby ewentualnie straty, *poniesione wskutek niemożności wydobycia z Niemiec naszych należności.*

Wysyłając więc od wielu miesięcy ŻYCIE do Niemiec, ponieśliśmy poważne straty materialne, których nie mogliśmy — wobec nie przydzielenia nam papieru — pokryć przez zwiększenie nakładu na Wielką Brytanię. Tu jest źródło naszych trudności materialnych, które zmuszają nas do ostatnich zmian.

Mamy jednak nadzieję, że przejście na dwutygodnik jest tylko koniecznością c h w i l o w ą, nie ustajemy bowiem w staraniach o uzyskanie możliwości podwyższenia nakładu, co z kolei pozwoli nam powrócić do formy tygodnika. Nie sądzimy jednak — co otwarcie przyznajemy — by starania nasze miały zostać uwieńczone pozytywnym wynikiem przed upływem trzech miesięcy.

Wierzymy głęboko, że Czytelnicy ŻYCIA przyjmą nasze wyjaśnienie za wystarczające i nie odmówią nam jeszcze raz Swego poparcia, od którego w tej chwili zależy los jedynego w Wielkiej Brytanii polskiego pisma katolickiego.

W Y D A W N I C T W O

Jan REMBIELIŃSKI

BOLESŁAW ŚMIAŁY I ŚW. STANISŁAW



Mal. L. Pawlikowska

Św Stanisław Biskup

(Obraz w Ołtarzu kaplicy Hospicjum Św. Stanisława w Londynie)

JEST nieśmiertelną zasługą prof. Tadeusza Wojciechowskiego, że w swoich „Szkicach Historycznych z XI wieku'' wykazał ostatecznie, ponad wszelką wątpliwość, że król Bolesław był — jeśli wolno się tak wyrazić — jednym z najbardziej klerykalnych monarchów, jacy w ogóle zasiadali na polskim tronie. Jego szczodrość, której zawdzięcza swój przydomek, (a tak wyłącznie nazywają go Gallus i Kadłubek, epitet „Śmiały'' est późniejszy), to przede wszystkim może nawet jedynie — szczodrość właśnie dla duchowieństwa. Świadczy o niej nie tylko opowieść Galla o księżynie, któremu pozwolił zabrać złota ze swego skarbca, ile tylko potrafi udźwignąć i dał mu nawet swój płaszcz królewski, ażeby je w nim uniósł wygodniej, lecz przede wszystkim nadania, hojnie po królewsku dla kościołów i klasztorów, jak na przykład dla Benedyktynów w Tyńcu. Nawet i świętopietrze jako obowiązkowa opłata Polski na rzecz Stolicy Apostolskiej również od Bolesława Śmiałego wzięło, jak można mniemać, swój początek.

Od pierwszych lat panowania swego popierał on też na Węgrzech, zgodnie z papieżem, kandydatów obozu niepodległościowego przeciwko cesarskiemu, zaś kiedy Grzegorz VII wstąpił na tron papieski i począł wykonywać swój wielki program reformy, Śmiały od pierwszej chwili znalazł się bez wahania w szeregu najżarliwszych jego zwolenników. Przechował się list papieża do Bolesława z dnia 20 kwietnia, 1075 r., a stanowiący pewnie tylko część korespondencji, jaka się wówczas pomiędzy nimi odbywała. W liście tym, poza szeregiem innych spraw, jak wysłanie legatów do Polski, dla dokonania reformy kościelnej, poza podziękowaniem za „dary'' i „dobrowolne oddanie,'' znajduje się również następujący, niezmiernie charakterystyczny urywek: „Przeto i my... pragniemy udzielić Wam opieki tego udo, do którego nas, chociaż niegodnych, Wola Boska powołała, (mianowicie) w takich sprawach, o których osądzimy, że są dla was konieczne i chwalebne, (i to) o tyle troskliwiej, im więcej poznajemy Waszą wierność i miłość gotową do posłuszeństwa.'' Zdanie powyższe, połączone z życzeniami „złamania pychy'' nieprzyjaciół Bolesława oraz zawiadomieniem, że legaci są uprawnieni do rozmowy z nim o sprawach tak poufnych, że papież w liście swym wolał o nich zamilczeć (*scribere omissimus*), musiało się odnosić do jednej tylko kwestii, t.j. do zamierzonej koronacji Śmiałego, co do której istotnie było rzeczą nader ważną, żeby się cesarz o niej przedwcześnie nie dowiedział. Aczkolwiek też ów list wysłany był do księcia, papież niezmiernie skrupulatny w tej dziedzinie, używa tytulatury „*Excellentia Vestra,*'' t.j. takiej jak do ówczesnego cesarza Bizancjum, Michała, podczas kiedy do króla Węgier, n.p. pisał zawsze tylko „*Excellentia Tua,*'' do Wratysława czeskiego zaś i w ogóle do najprzedniejszych nawet książąt cesarstwa — jedynie „*Nobilitas Tua.*''

Legaci papiescy przybyli do Polski i rozpoczęli swą działalność. Równocześnie zaś zaostrzał się coraz wyraźniej spór zasadniczy między Grzegorzem VII a cesarzem. W styczniu 1076 r. samozwańczy synod w Wormacji, zwołany przez Henryka IV, ogłosił złożenie Grzegorza VII z papiestwa, zaś w lutym tegoż roku Grzegorz VII, ze swej strony rzucił klątwę kościelną na cesarza. Bolesław w tym momencie rozstrzygającym dla dziejów świata postanowił czynnie wystąpić po stronie papieża.

Zwrócił się więc z propozycją udzielenia pomocy Sasom, którzy podówczas zbuntowali się przeciw Henrykowi i w r. 1076 z posiłkami ruskimi — wspomina o nich głośny później Włodzimierz Monomach w swym „Pouczeniu dla dzieci,'' jako że sam brał w nich udział — wtargnął przez Czechy, wierne cesarzowi, i przez Łużyce do Miśni i tam po czteromiesięcznej wyprawie zmusił wojska Henryka i Wratysława czeskiego do wycofania się „z pośpiechem.'' Można więc rzec, że w owej chwili zwrotnej Polska — pierwszy raz w swoich dziejach — nie tylko zaznaczyła swoje istnienie w Europie (to uczyniła już za Chrobrego), lecz stanowiskiem swoim wpłynęła, być może decydująco, na jedno z zasadniczych rozstrzygnięć w historii świata.

W dzień też Bożego Narodzenia 1076 r., gdy cesarz Henryk IV potajemnie wybierał się do Canossy, by w miesiąc później, w styczniu 1077 r., boso na mrozie, przez trzy dni wyczekiwać papieskiego zmiłowania — w Polsce Bolesław Śmiały koronował się na króla w asystencji legatów papieskich i wszystkich polskich biskupów, „na hańbę królestwa niemieckiego'', jak zanotował z gniewem współczesny tym wydarzeniom kronikarz niemiecki Lambert.

Jasne jest też, że po tej koronacji jeszcze się silniej związał król Bolesław z polityką Grzegorza VII. Zgodnie z wyraźną dyrektywą papieską poparł w r. 1077, na kijowskim wielkim księstwie Izasława oraz zdobył i oddał w tymże roku tron węgierski św. Władysławowi, który w przyszłości okazał się wielkim królem i był przez papieża Urbana II przeznaczony na wodza naczelnego pierwszej krucjaty, tak że jedynie wskutek swej śmierci przedwczesnej (r. 1095) ustąpił Godfrydowi de Bouillon zaszczytu wprowadzenia pierwszych zastępów krzyżowych do Jerozolimy wyzwolonej. O tym świętym monarsze zaś zanotował Gallus, który, jak się wydaje, miał sposobność stykać się z nim osobiście, że „wychowany od dzieciństwa w Polsce, był całkowitym Polakiem, w obyczajach i sposobie życia.''

Jakże zabawnie też, w świetle tych wszystkich faktów, wygląda ignorancja naszych przedwojennych „neopogan,'' którzy Śmiałego właśnie chcieli uczynić swym patronem w walce przeciwko papiestwu i to — dodajemy jeszcze — w imię nieistniejących z gola jakichś „prapolskich'' pogańskich bogów.

Lecz nie ulega kwestii, że jeśli król Bolesław był tak zdecydowanym gregorianinem, to był nim przecież — bez najmniejszej wątpliwości — także i święty biskup Stanisław. Inaczej wszak Bolesław nie osadziłby go na biskupstwie (r. 1071), a już tym bardziej na Wawelu, więc w charakterze osobistego swego jak gdyby kapelana. Inaczej usunęliby go napewno owi legaci papiescy, którzy bawili w Polsce przez czas dłuższy i posiadali szerokie bardzo pełnomocnictwa („ich więc, jako nas samych słuchajcie'' — napisał o nich Grzegorz VII do Bolesława), tak jak w ćwierć wieku później gdy po śmierci Władysława Hermana Polska wróciła do posłuszeństwa Stolicy Apostolskiej, legat Walon z Beauvais złożył z godności dwu biskupów, którzy sprzeciwiali się reformie gregoriańskiej. I jeśli nawet odrzucimy ryczałtem, jako świadectwa późne, więc nieważne, wszystkie pochwały cnót św. Stanisława w „Żywotach'' jego pisanych w w. XIII — to jeszcze nie uprawni nas to zgoła, by przyjąć hipotezę przeciwną, dla której w ogóle nie znajdziemy poparcia w źródłach — ani z XIII stulecia, ani z żadnego.

A to właśnie uczynił prof. Wojciechowski w swych „Szkicach,'' który z taką jasnością przedstawiwszy istotne stanowisko króla, popadł w przeciwny ekstrem, próbując insynuować, że to widocznie biskup był antygregorianinem — „mógł być nawet żonatym,'' jak dodał już na wiatr najzupełniej, jako że nigdzie w źródłach podobnej informacji o św. Stanisławie nie wyczytał. I zbyt pośpiesznie skonstruował opowieść o udziale biskupa w spisku brata, Władysława przeciwko królowi, spisku, który był wrogi i polityce gregoriańskiej i który przerzucił Polskę na okres całego prawie ćwierćwiecza do obozu stronników wybranego z poręki cesarskiej antypapieża Klemensa III. A wszystko na podstawie jednego tylko wyrazu: „*traditor*'' (zdrajca) u Galla Anonima, wyrazu, używanego wówczas po prostu dla określenia człowieka, który sprzeciwił się woli panującego; wszak w pół roku zaledwie po śmierci św. Stanisława, na synodzie schizmatyckim w Brixen (Bressanone), ogłosili zebrani tam biskupi lombardzcy i niemieccy, że nie kto inny jeno sam papież Grzegorz VII, to właśnie — *traditor regni* (zdrajca królestwa).

To stanowisko wszakże prof. Wojciechowskiego wyda się nam o wiele bardziej naturalne, jeżeli zdamy sobie sprawę, że całe jego rozumowanie było oparte na zasadniczym założeniu — dla niego jak aksjomat pewnym i oczywistym i równie nie wymagającym dowodzenia — mianowicie, że zatarg między królem a biskupem musiał być z konieczności starciem się dwu przeciwnych programów politycznych. A przeświadczenie takie uznamy za zrozumiałe, co więcej niemal zupełnie nieuniknione, jeżeli przypomnimy sobie, że „Szkice'' prof. Wojciechowskiego ukazały się po raz pierwszy w r. 1904.

Wówczas w sto dziesięć lat po ostatnim rozbiorze, w lat czterdzieści po upadku powstania styczniowego, pol-



W niedzielę, dnia 2 maja, o godz. 10.30, w przeddzień rocznicy Konstytucji i święta M. Boskiej Królowej Polski — Ks. Infułat Bronisław Michalski odprawi w Katedrze Westminsterskiej uroczystą Mszę św. w intencji Ojczyzny naszej.

STANISŁAW KOSTANECKI

Wskrzeszenie Piotrowina

— Kto tam po nocy? Jezus! Król!
I biskup! — Słuchaj, co rozkażem,
i gębę tul! —

Jezus, Maryja! Biskup, król! —
Klucze na ziemię lecą z brzękiem.
Wiatr niesie krzyże nad cmentarzem
Śpiewa piosenkę.
Miserere!

A krzyże lecą w noc szpalerem
Biskup i król przynikli, lisi.
Na haku nieba księżyc wisi.
Śpiewa piosenkę!
Miserere!

Uderzył twardo, głośno rydel.
Pobrzydnął nagle król i pobladł.
Biskup przygarbił się i zmalał.
Księżyc trumnę światłem oblał:

Z życia i śmierci Bóg wyzwala!

skie życie publiczne, od paru już pokoleń, w najzupełniejszej znajdowało się atrofii. Polacy, których imię nawet usunięto od lat dziesiątków z wszelkich dyskusyj dyplomatycznych w Europie, podzieleni i pozbawieni bodaj śladu jakichkolwiek własnych politycznych instytucji, z natury rzeczy musieli zamknąć swą działalność w jedynie zostawionej im sferze spraw i zabiegów czysto prywatnych. Takie nienaturalne wszakże zacieśnienie życia narodu, trwające nadto przez okres czasu tak długi, nie mogło nie wytworzyć w nich pewnych swoistych całkiem cech — czy nienormalności psychologicznych.

Tak więc przywykłszy n.p. szukać swych postaci historycznych jedynie i wyłącznie w historii, musiał zacząć je wyobrażać sobie jako jakiś odmienny całkiem, niż ten, z którym stykał się co dzień, gatunek ludzki. Artyści, jak Sienkiewicz, a przede wszystkim Matejko, jęli przedstawiać je jako jakichś olbrzymów, nadludzi, czy w złym, czy w dobrym przerastających duchem tytanicznym miarę człowieka pospolitego. Historycy natomiast, trzeźwiejsi, prozaiczniejsi, jak n.p. Bobrzyński czy Wojciechowski, w istocie rzeczy popełniali też pomyłkę, jeno że w sposób o wiele mniej poetycki. Wyobrazili sobie oni, że jeśli ludzie prywatni mogli działać jedynie w zasięgu spraw jednostkowych, to ludzie historyczni w życiu przez nich nie spotykani, a powołani do decyzyj o powszechnej dziejowej doniosłości, musieli je na odwrót pobierać wyłącznie w imię pobudek nieosobistych, politycznych. Naszemu dopiero pokoleniu, żyjącemu w czasach tak historycznych, oglądającemu z tak bliska tak przełomowe historyczne rozstrzygnięcia, dane było zrozumieć, na skutek własnych obserwacyj, jak często owe dziejowej wagi postanowienia w ogóle nie wypływają z jakichś motywów szerszych, ogólniejszych, ale stanowią tylko wynik prywatnych najzupełniej urazów, idiosynkrazyj, czy nastrojów.

I dlatego nam łatwiej stokroć przyjąć alternatywę drugą, dla ludzi z czasów prof. Wojciechowskiego tak trudną do spostrzeżenia, mianowicie, że zatarg między królem a biskupem wcale nie musiał być zatargiem politycznym. Że przeciwieństwa, jakie powstały między nimi, jak też i krwawy, tragiczny ich epilog, mogły swe źródła mieć w innej zupełnie dziedzinie, być konfliktem wyłącznie w zakresie zagadnień moralnych. Na czym polegał on, Gallus nie podał informacyj, przekazał nam natomiast kilka szczegółów z innych dziedzin, które stanowią wszakże również i dla powyższej sprawy ciekawe, chociaż uboczne oświetlenie.

Zanotował więc Gallus przede wszystkim, że król był p y s z n y. Prawnuk Chrobrego, mający w swoich żyłach równocześnie krew cesarzy obu imperiów: — zachodniego — przez babkę swą, Rychezę, i wschodniego — przez matkę, Dobronegę Marię, wnuczkę cesarza Bizancjum, Romana II, potrafił tę swoją wyższość okazywać w sposób szczególnie dla otoczenia drażliwy i obraźliwy. Dwa przykłady, niemal patologiczne już owej pychy przekazał nam kronikarz; jeden z epoki, gdy król był u szczytu potęgi, drugi z okresu po jego katastrofie i wygnaniu. W pierwszym wypadku, wielki książę kijowski, Izasław, pragnął w obliczu rycerstwa zamienić z nim uroczysty pocałunek pokoju, Bolesław zaś nie tylko go nie ucałował, lecz najniespodziewaniej — „rubasznie wytargał go za brodę.'' W drugim — już jako do wygnańca, król Węgier, św. Władysław, pieszo śpieszył z witaniem, by mu okazać swój szacunek. Bolesław zaś nie tylko nie zeskoczył ze swego konia, ale począł rozmawiać dumnie, niczym z poddanym, ze stojącym u strzemienia swego monarchą. Podał też Gallus mimochodem, jako rzecz najwidoczniej dobrze wszystkim znana, że król „był dziki'' (*erat ferox*), gwałtowny, aż do szaleństwa, może po Ezzonidach, rodzie babki Rychezy, gdzie obłąkanie należało do cech dziedzicznych. Było więc, jak widzimy, dość rysów w charakterze i usposobieniu króla, które mogły sprowadzić zatarg jego ze Świętym i nie ma potrzeby najmniejszej uciekania się do jakichś hipotez. źródłowo nie dających się uzasadnić, o rzekomych różnicach politycznych między nimi, czy o udziale biskupa w spisku brata młodszego Władysława przeciw Bolesławowi.

Ale „*habent sua fata libelli.*'' Prawdopodobnie Kadłubek, który wykańczał swą kronikę, przede wszystkim w ostatnich latach życia, w zaciszu klasztornym u Cystersów, a już na pewno całkiem autorowie „Żywotów'' św. Stanisława z połowy XIII stulecia, pisali pod wrażeniem sporu kościelno-politycznego, którym w tym czasie rozbrzmiewała cała Polska; zatargu między arcybiskupem gnieźnieńskim, Henrykiem Kietliczem, a księciem Władysławem Laskonogim. Ten konflikt miał istotnie charakter polityczny. Chodziło w nim o niezależność duchowieństwa i o znaczenie jego jako stanu samoistnego w ustroju państwowym. I nie dziw, że autorzy ówcześni, niewiele orientujący się w przeszłości, już przecież dosyć od nich dalekiej, skłonni byli przedstawiać Bolesława, jako rodzaj Laskonogiego, ukrzywdzającego Kościół w jego prawach, św. Stanisława zaś jak ówczesnego Kietlicza, z tychże powodów rzucającego klątwy najuroczystsze na króla. I ta opinia przetrwała w historii naszej poprzez wieki, lecz jest nieco zabawne, gdy się pomyśli, że sugestii tego „plemienia Kadłubka'' uległ bezwiednie także i prof. Wojciechowski, który podobnież przyjął właściwie bez zastrzeżeń, że walka króla z biskupem była zatargiem politycznym, a tylko usiłował odwrócić dotychczasowe w niej role.

JAN REMBIELIŃSKI

Z książki J. Rembielińskiego p.t. **H I S T O R I A   P O L S K I** Tom I, Średniowiecze (Str. 334. — Cena 15 sh. ATA Publishers, Ltd., 76, Warwick Square, London, S.W.1.

*

Za uprzejmym zezowleniem Wydawcy

Adam M I C K I E W I C Z

PIERWSZY ARTYKUŁ KONSTYTUCJI POLSKIEJ

...Pierwszy to był w Polsce przykład podobnej zbrodni i nie wiedziano jeszcze, jakie z niej skutki wynikną. Zwyczajne zabójstwo czas zaciera; ale krew męczenników okazała dziwną własność żywotną, coraz szerzej rozlewając się po ziemi i coraz głośniej wołając ku niebu. Nie wiele dni upłynęło, a już po kraju rozpowiadano wszędzie ze zgrozą o śmierci biskupa; nie koniec na tym, Polska była już oddawna cząstką całości chrześcijańskiej, król stał się odpowiedzialnym w obliczu Kościoła... Wszyscy stronili od Bolesława. Nie było buntu ani powstania, ale zostawiono króla w bezwładności, odstąpiono go w milczeniu. Cały rok upłynął dziwnego panowania, w czasie którego nie mógł król ani posłuszeństwa uzyskać, ani oporu wyraźnego wywołać; nareszcie zmordowany, zgryziony i upadły na duchu, opuścił państwo i udał się z synem do Władysława, króla węgierskiego, któremu tyle niegdyś przysług wyświadczył. Tam przyjęty ozięble, nie długo goszcząc, zniknął ze dworu i bez wieści zginął. Jest podanie, że po długim tułaniu się, utaiwszy imię, wstąpił do klasztoru w Ossaku, gdzie w służbie ciężkiej ostro pokutując, przed śmiercią odkrył kim był (roku 1080).

Męczeństwo Stanisława, wkrótce policzonego w poczet Świętych, jest wielkim politycznym wypadkiem dla Polski. Opowiadany z ambon ludowi opór biskupa i gwałt króla dawały poznać obopólne obowiązki panujących i poddanych; wnioski z tej nauki same łacnie miały się wywinąć. Cześć Ś-go Stanisława stała się, że tak powiem, pierwszym artykułem nowej konstytucji polskiej. Jak w Anglii o pierś Ś-go Tomasza skruszyła się dzida królów normandzkich, tak w Polsce na czole Ś-go Stanisława stępiła się szabla królów lechickich i głowy sług Kościoła zostały na zawsze zabezpieczone, a wkrótce i inny stan ma podobne bezpieczeństwo uzyskać. A chociaż po Bolesławie Śmiałym jeszcze dwaj królowie ciągną dawne dzieje Piastów jedynowładnych, wszakże właściwie od czasu upadku tego króla zaczyna się okres nowy dziejów, Polski w podziałach, Polski wolnej.

ADAM MICKIEWICZ

(*Pierwsze wieki historii polskiej*)

Maria W I N O W S K A

Książka o Elżbiecie

PRZED kilku miesiącami ukazała się na paryskich półkach księgarskich książka,*) która w lot podbiła opinię i została — dosłownie — rozchwytana. Dziś, mimo braku papieru i przesycenia rynku, już fabrykuje się drugie wydanie. Nie jest to powieść. Ani „rewelacja'' skandalików, politycznych czy prywatnych. Ani sensacyjna autobiografia. Jest to, po prostu, historia świętej. I to nie „vie romancée.'' Historia w najściślejszym, najsurowszym tego słowa znaczeniu, z całym rygorem naukowego rynsztunku, zakapturzonego w formie wytwornej, lecz niemniej wszędzieobecnego. Życie świętej Elżbiety Węgierskiej, przez panią Ancelet Hustache.

Sto dziesięć lat temu zyskała rozgłos inna książka, o tym samym tytule. Autorem jej był młody Montalembert. Pisał w romantycznym ferworze epoki i swoich dwudziestu sześciu lat, nie bacząc zbytnio na dokumenty. Powstała książka piękna, żywa — i przepleciona legendą. Nie wytrzymuje krytyki tekstów; dziury w historii łata fantazją.

Doskonałym symptomatem ewolucji francuskiej myśli katolickiej od stu lat jest dystans, dzielący obie książki. Montalembert miał większy talent, lecz nie umiał trzymać go na smyczy czy ujeździć jak rasowego bachmata: talent z lekka rozczochrany. Pani Ancelet Hustache wykazuje w tej paraleli raczej męskie zalety karności wobec przedmiotu i dyskretnej powściągliwości w subiektywnych ocenach. Kryje się w kulisach: mówią za nią teksty. I czytelnik, zwłaszcza niewierzący, nie ma tego trochę nieprzyjemnego wrażenia, że go „bujają'' cudeńkami z nieprawdopodobnego zdarzenia.

Odbronzowienie Hagiografii (pisanie żywotów Świętych) jest dziś naczelnym zadaniem katolickich pisarzy i przyznać trzeba, że w tej dziedzinie nie tylko we Francji, ale także u nas robi się niemało. Lecz pozostaje jeszcze tyle do zrobienia! Czytając książkę Ancelet Hustache myślałam sobie z pewnym uczuciem zazdrości: kiedy ukaże się u nas, tejżeż samej miary, „życie królowej Jadwigi?'' Napisane przez historyka, który by w swoim katolicyźmie czerpał zasadę podwójnej lojalności: wobec dokumentów, a więc prawdy historycznej i wobec niedościgłej tajemnicy duszy świętej Pani, którą dokumenty osaczają, która przez dokumenty prześwieca, lecz nigdy bez reszty „naukową metodą'' pochwycić się nie da? Na to, by pisać życie świętego, trzeba być jednocześnie i historykiem i poetą...

Maria Winowska

***) Ancelet Hustache: La Sainte Elizabethe de Hongrie.**

Maria K O N O P N I C K A

B A N A S I O W A

Niechże i tobie będzie tutaj karta,
Staruszko moja na kiju oparta,
Coś mnie tak zeszła wśród ciszy i słońca
Białością swoją cała srebrniejąca,
Jak schodzi czasem z swojego ukrycia
Prosta i mądra w prostocie — myśl
życia.

... ...

POŁUDNIE było ciche i gorące. Park łyczakowski we Lwowie zdawał się topnieć w powietrzu rozjarzonym, drgającym od natężonych, promienistych blasków.

W złoto — zielonej sieci, splątanej z cienkich nitek siejącego się wskroś cienistej lipy słońca, wisiał przede mną nieruchomo prawie i bez brzęku, omdlały rój drobniuchnych muszek; nad niedalekim trawnikiem polatywały białe motyle krótkim, niskim lotem, zapadając głęboko między trawy; żwir błyszczał oślepiająco na krzyżujących się wprost ławki ścieżkach, a silne zmieszane wonie biły w powietrze jakby z kadzielnicy. Wszystko to przyszło nagle, po bardzo świeżym i pełnym ros rzęsnych poranku, gdy słońce białe prawie, wytoczyło się, wysoko, jak kula, uderzając całym żarem w dyszącą spotniałą ziemię. Park był pusty. Ci, co tu bywają rankiem, już odeszli, ci, co szukają cienia i chłodu, nie przyszli jeszcze. Natężone gorąco zdawało się wzmagać wśród zupełnej ciszy, a oddalone cykania koników podobne były do lekkiego trzasku niewidzialnych, podsycających żar południa iskier.

Naraz usłyszałam za sobą pośpieszny stukot kija. Obejrzałam się. Ku ławce mojej szła drobnym, pośpiesznym krokiem mała, mocno do ziemi przygięta staruszka. Biały jej czepiec olśniewająco srebrzył się pod słońce, równie, jak biała skrzyżowana na grubym kaftanie chustka i takiż obszerny fartuch. Jedno jej ramię obciążone było koszem, drugie wyciągało się, miarowo, stukając niewielkim kijem, który nogom za podporę służył, a i oczom pomagał może. Daleko jeszcze była, kiedy usłyszałam jej oddech krótki i ciężki.

Widocznie śpieszyła się do ławki, by spocząć i kosz na niej postawić. Wyschłe jej nogi dreptały z wielkim wysileniem, plącząc się coraz prędzej i krzywe stawiając kroki; głowę miała tak schyloną, żem oblicza jej dojrzeć nie mogła. I ona też zapewne nie widziała mnie wcale. Dopiero kiedy cień mój znalazł się tuż przed nią, wstrzymała się nagle, rozprostowała nieco i twarz podniosła ku mnie. Jaka to była sieć zmarszczek! Życie, co przędło nitki tej sieci, musiało być długie, bardzo długie. Musiało też nie spoczywać nigdy. Musiało ono rankiem przy ogarku do pracy się brać, a kończyć ją pół ślepo, o pianiu północnych kurów. Musiało na szare wrzeciono swoje wytargać z tej piersi wszystkie włókienka. Musiało nić swoją rwać, plątać i znów rwać i znów plątać, nie wygładzając węzłów, tylko śpiesząc się, śpiesząc...

Stała tak chwilę jakby w zadziwieniu, mrugając małymi, szarymi oczkami, po czym znów się ruszyła, do ławki podeszła i kosz do połowy napełniony piernikami o nią oparłszy, odetchnęła głęboko raz i drugi.

— Gorąco — przemówiłam, aby coś powiedzieć.

— A dał Pan Jezus, dał, odrzekła, ocierając wyschłą ręką pot z czoła i bladej, jak opłatek twarzy. — Przyparek taki naszedł, co strach.

— Siądziecie może trochę?

— I... co ta siadać, proszę łaski pani! Tak się aby zeprę. Starocie takiej to i sieść i wstać trudno. Zaraz cości w krzyżu trzeszczy.

— Ileż sobie lat liczycie?

—A cóż ja tam mam je liczyć proszę łaski pani. Pan Jezus je ta be ze mnie liczy... Zawszeć będzie tego z osiemdziesiąt, albo i więcej. Tak z pamięci to trudno wszystko do kupy złożyć, ale w naszej parafii ludzie wiedzą, papiery na to są...

— Toście nie tutejsi, matko?

— Cobym zaś, proszę łaski pani tutejsza miała być? Z Wadowic jestem, z miasteczka. A jakże! Ino że teraz osada się tam zrobiła i insze porządki są. Ale zawsze mnie tam ludzie znają. Banasiowa, to i Banasiowa, mały, duży o mnie wie, co jak.

— I takeście do Lwowa przywędrowali?

— A gdzieby ja tam do Lwowa, proszę łaski Pani! Albo to mnie Lwów co da, albo co pomoże. To tam młodym dobrze ubiegać po świecie i pod wiater dmuchać, ale nie na moje lata! Ino, że tu dzieci mam, niby córkę, co za goździarzem we farbryce je... A jakże! To jak mnie ta święta ziemia zaczęła do siebie wołać, takem do nich na śmierć ściągła. Zawszeć to u swoich lżejsze umieranie. Nie daj Boże ciężkiego konania, to choć słomy na izbę rozścielą i tej duszyczce z grzesznego ciała wyjść dopomogą.

— I dobrze wam u dzieci?

— A cóż? Dobrze. Staremu wszędzie dobrze, bo już od złego nie ubiega. Ino, że mi się tak nie wyszykowało, jakem sobie umyśliła.

— I z czym że wam się tak nie wyszykowało?

— Ano, niby z tym umieraniem, proszę łaski pani. Tu do dzieci na śmierć ściągłam, a tu precz żyję. Pęcherzynka się ot taka widzi, co tu dmuchnąć i tyla, a tu takie życie we mnie, co niech ręka boska broni! Ze samego początku to tam kramu żadnego, chwalić Boga nie było. Zameldowali mnie, pięknie, ładnie, bywało zięć do roboty do fabryki

St. GRYZIEWICZ

EKONOMIA I CZŁOWIEK GOSPODARUJĄCY

Każdy naród powinien sobie dobierać właściwe dla niego w danym okresie formy życia społeczno-gospodarczego i metody realizacji celów społeczno-gospodarczych. Nie ma uniwersalnych form życia społeczno-gospodarczego i uniwersalnych metod polityki społeczno-gospodarczej.

Natomiast uniwersalny musi być porządek, względnie sposób podejścia do problemów ustroju i zadań polityki społeczno-gospodarczej. Mianowicie, punktem wyjścia muszą być zasady moralności chrześcijańskiej. One to właśnie mają być realizowane w polityce społeczno-gospodarczej. Absolutnie nie ma innych racji samoistnych, które mogłyby być przeciwstawione racji moralnej. Jeśli dochodzimy do wniosku, że moralność chrześcijańska wymaga tego lub owego, nie można temu przeciwstawiać twierdzenia, że z punktu widzenia ekonomicznego jest to niewskazane. Na tym polega ta hierarchia wartości, jako istota współczesnej problematyki ustroju społeczno-gospodarczego i gospodarki w ogóle. Jeśli przyjmie się szczerze tę hierarchię wartości, świat pojęć i wierzeń społeczno-gospodarczych, który jest dla nas często bardzo powszedni i bardzo w porządku odwraca się o 180 stopni.

Mam wrażenie, że często popełniamy błąd, sądząc, że ten najpotworniejszy etap rozwoju materializmu, jakim jest bolszewizm, to dopiero właściwe zapanowanie materializmu. Otóż, mnie się wydaje, że materializm panuje niepodzielnie w naukach społecznych i w gospodarce, co najmniej od połowy XVIII-go stulecia, a w XVI i XVII stuleciu miał już pozycję wyraźnie dominującą. Jeśli było inaczej, to w takim razie idee średniowiecza były ideami maniaków. Ich kompletny zanik na przestrzeni ostatnich stuleci jest w takim razie powrotem do zdrowia psychicznego społeczeństw. Twierdzę co innego: myśl społeczno-gospodarcza nigdy przedtem ani nigdy potem nie osiągnęła takich wyżyn, jak w średniowieczu. Do tych idei trzeba całkowicie powrócić. Wszystko inne, co miałoby zastąpić całkowity powrót do myśli przewodnich średniowiecza, jest używaniem środków kosmetycznych dla leczenia ciężkich schorzeń. Obecne kataklizmy są finałem coraz większego oddalania się w ciągu stuleci od idei średniowiecza.

Ponieważ w nawrocie do idei średniowiecza widzę jedyną kurację, dlatego atakuję uproszczenia, polegające na tendencjach przenoszenia w czasy dzisiejsze form średniowiecza. Błędy tego rodzaju uproszczeń popełnia na przykład korporacjonizm, o tyle, o ile kładzie zbyt wielki nacisk na formy. Ten rodzaj naśladownictwa powierzchownego skazany musi być na kompromitację, a kompromitacja ta może opóźniać wcielanie w życie samych idei.

Katolicyzm nie próbował, po upadku w życiu społeczno-gospodarczym idei średniowiecza, dostatecznie silnie atakować podstaw i konstrukcji nauk społecznych oraz wytwarzających się faktycznie w życiu formacji społeczno-gospodarczych. W myśli liberalnej i w systemie kapitalistycznym — mam na myśli system celów, pobudek, reakcji, obyczajów — niemal wszystko było sprzeczne z katolickim porządkiem moralnym i katolicką koncepcją człowieka.

Katolicyzm, po upadku w życiu społeczno-gospodarczym idei średniowiecza, łagodził obowiązujące w danym okresie, niekatolickie systemy społeczno-gospodarcze, oddziaływał poprzez ludzi, działających w trybie danych systemów. Ale nie próbował zrewolucjonizować tych systemów, jak nie próbował zrewolucjonizować feudalizmu, chociaż feudalizm nie szedł po linii jego koncepcji. Mnie się wydaje, że był to duży błąd. Nie można osiągnąć znacznych rezultatów umoralnienia postępowania ludzi w życiu społeczno-gospodarczym, skoro to postępowanie jest całkowicie opanowane przez — sprzeczne w swoich podstawach z katolicyzmem — systemy społeczno-gospodarcze. Te systemy stworzyły swoją własną obyczajowość, która żyje w każdym człowieku, swoje własne kryteria, które żyją w każdym człowieku, swoje własne pobudki, swoje własne, usprawiedliwione cele, swoją własną przyczynowość zjawisk społeczno-gospodarczych, i t. d., które żyją w każdym człowieku. Po prostu nie ma się gdzie wcisnąć. Odrazu napotyka się na zaporę i na napis: tu nie ma drogi, to jest niemożliwe, albo niewskazane z punktu widzenia ekonomicznego. Ale nie ma dodatku — z punktu widzenia jakiej ekonomii?

Niewykończony ustrój i system średniowiecza był więc jedynym na przestrzeni dziejów własnym ustrojem i systemem katolicyzmu.

Średniowiecze było epoką świętych. Zapomnijmy — dla ułatwienia sobie naszego rozumowania, — że Św. Tomasz, Św. Bonawentura wnosili pierwiastki świętości do życia społeczno-gospodarczego. Wyobraźmy sobie, że ich dzieło było wyłącznie dziełem czystej, potężnej myśli. Otóż, średniowiecze było dlatego triumfem katolicyzmu w życiu społeczno-gospodarczym, ponieważ była to epoka wielkiego rozwoju myśli katolickiej. Myśl katolicka owładnęła w tym czasie całym życiem umysłowym świata chrześcijańskiego: nikt niczego nie mógł jej w tej dziedzinie przeciwstawić.

Dzisiaj gruntowne przebudowanie życia społeczno-gospodarczego narodów katolickich, a tym samym i gruntowna przebudowa ustrojów, musi rozpocząć się od gruntownego przeorania przez myśl katolicką nauk społecznych. Im większe będą triumfy myśli katolickiej w dziedzinie nauk społeczno-gospodarczych, tym większe będą triumfy katolicyzmu w życiu praktycznym. Mielibyśmy ułatwione zadanie, gdyby mogła powtórzyć się epoka wielkich świętych, wielkich świętych myślicieli, za którymi moglibyśmy pójść. Oczywiście. Ale przed nami jest tym nie mniej droga obowiązku — droga obowiązku zwykłego człowieka.

Wydaje mi się, że organizacja katolików, pracujących w dziedzinie nauk społecznych, polegająca na inicjowaniu, planowaniu, ułatwianiu i koordynowaniu badań społeczno-gospodarczych z punktu widzenia zasad moralności chrześcijańskiej i katolickich pojęć o człowieku — posiada zasadnicze znaczenie. Jak już wspominałem poprzednio, wielka trudność polega na tym, że — ze skomplikowaniem się struktury i życia społeczno-gospodarczego — zasady moralności chrześcijańskiej często nie mają swego bezpośredniego wyrazu w przejawach życia społeczno-gospodarczego. Trzeba ustalać związki, zachodzące pomiędzy daną zasadą a danym zjawiskiem, czy przejawem, który wydaje się napozór obojętny z punktu widzenia zasad moralnych. Te związki prowadzą poprzez szereg faktów do przyczyny, gdzie da się dopiero ustalić w sposób wyraźny, że wchodzi w grę problem moralny. W tym punkcie może być powzięta decyzja zasadnicza ze stanowiska moralnego i mogą być pokierowane dalsze, konsekwentne rozstrzygnięcia.

Św. Tomasz dał nam nieocenioną wskazówkę w sprawie metody. Dla przekształcania życia przez myśl katolicką użył metody Arystotelesa. Użył techniki obcej dla własnej myśli, dla rozwinięcia i infiltracji zasad katolickich. Ekonomiści katoliccy dopóty nie odniosą sukcesu, dopóki nie użyją współczesnej techniki ekonomicznej w stawianiu problemów, w argumentowaniu, w propagandzie. Muszą przemawiać językiem, który trafiałby do ekonomistów. Muszą posługiwać się współczesną metodą ekonomiczną.

Od rozwoju katolickiej myśli społeczno-gospodarczej musi się również zacząć wychowywanie człowieka w sprawach społeczno-gospodarczych. Dzisiejszy człowiek jest w lesie różnych pojęć i terminów specjalnych. Trzeba mu konkretnie powiedzieć, jaki jest wyraz stanowiska katolickiego w każdym przejawie życia społeczno-gospodarczego.

Drugim, z kolei, pod względem ważności, środkiem działania jest uświadamianie i wychowywanie mas społeczeństwa.

Formy ustrojowe są rzeczą drugorzędną — powtarzam — nie mogą spełnić roli samodzielnej w przebudowie życia społeczno-gospodarczego w duchu katolickim. Najlepiej pomyślane formy ustrojowe nie zapobiegną piekłu w życiu społeczno-gospodarczym przy człowieku zmaterializowanym i myślącym w kategoriach światopoglądu materialistycznego. Nie ma takich rozwiązań ustrojowych, które eliminowałyby problem jakości człowieka.

ST. GRYZIEWICZ

Proroctwa i objawienia

Okres, jaki obecnie ludzkość przeżywa sprawia, że masy całe szukają ucieczki w jakiejś krainie ułudy, magii i rzeczy ponadzmysłowych. Coraz dochodzą nas jakieś słuchy o nowych przepowiedniach, ba, nawet o rzekomych objawieniach, wizjach itp. Dla wielu ludzi objawienia te i przepowiednie zdają się być ważniejsze niż to, o czym mówi nauka Kościoła i Pismo św. Życie religijne znalazło tu poważnego przeciwnika i stąd też nigdy nie będzie dość zwracania na to uwagi. Rozumie to Kościół, zrozumieli też i liczni pisarze katoliccy. I coraz więcej na ten temat pojawia się głosów.

Pius IX wyraził się kiedyś: „Niewiele robię sobie z proroctw... nie zasługują one na ten zaszczyt, by je czytać... Najlepsze proroctwo to poddanie się woli Bożej i czynienie dobrze ile tylko możliwe.” Nie znaczy to wcale, by Kościół proroctwa czy objawienia „prywatne” uważał za niemożliwe. Sam potwierdził przecież niektóre, a na podstawie innych wprowadził takie święta jak Boże Ciało czy Serca Jezusa. Zaaprobowawszy jednak jakiś fakt, jeszcze nie nakłada obowiązku wierzenia w niego, gdyż nigdy nie ma absolutnej pewności co do jego boskiego pochodzenia.

Na sprawy te zwraca często uwagę rozgłośnia watykańska, stwierdzając, iż przyczyniają się one do tego, że istota wiary staje się czymś ubocznym.

(*IP*)

---

idzie, córka się po stancji kręci, a ja wedle pieca siędę, pierza sobie, com ta miała zebranego na poduszczynę, drę, pacierz mówię i onej ostatniej godziny czekam. Czekam miesiąc, czekam dwa, nic. Aż mnie coś przenika z tego czekania.

Tak przychodzi raz w niedzielę stróż i powiada: a wy Pietrze, niby że Pieter zięciowi ze chrztu świętego — matce karte-pobyt szykujcie, kiedy u was siedzi. Tak zięć się zastanowił i powiada: a siłaż to tam tego? Tak stróż powiada: a dwa złote przez kwartał. Ano poczęstował go zięć tabaką, poszedł. Jak też poszedł, tak mówię ja Pietrowi:

— Na co mi synku, ta karta-pobyt, kiedy ja tu na śmierć ściągła nie na życie? Ino we mnie tchu patrzeć bom strasznie mdła na wnątrzu. Tak córka się odzywa. Abo i prawda. Co się tam będziesz kosztował? kiedy matce dziś, a jutro.

A no, tak my się wszyscy na jedno zmówili, i cicho, i dobrze. A uderzały na mnie, proszę łaski pani takie słaboście, takie poty śmiertelne, że to każda kosteczka trzęsła się we mnie jak liść na wietrze, a przed oczami jak by kto sadze sypał, taka czarność szła. A drugi raz to jak mnie zaczęło w krzyżu łamać, to żeby tam troiste zorze na niebie stanęły toby człowiek do nich głowy nie mógł dźwignąć. Więc takem sobie na rozum brała, że to ta niedługie już rzeczy ze mną.

Ale co ta grzeszny człowiek może wiedzieć. Zeszedł kwartał, zeszedł drugi, nic, precz żyję. A jakże, aż mi dziwno. Czy też tak Pan Jezus — myślę ja sobie — nóżką swą przenajświętszą moją liczbę przestąpił, czy co? Tak raz wraca zięć z roboty, a tu za nim stróż we drzwi.

— Bójcie się Boga, Pietrze, powiada, cóż z tą waszą matką. Na śmierć — mówicie ściągała, a tu już trzeci kwartał żyjąca je i karty-pobyt nie płaci. Już na drugie tyla kary narosnęło. Insze lokatory to tam same za siebie myślą, ale wedle suteryn to mnie naczelnik kazał za tym patrzyć. Żeby się tak dowiedział, toby i mnie i wam była bieda. Róbcie jaki porządek z tym interesem albo w te, albo w te stronę, bo to już tego więcej niż dziesięć złotych będzie.

Tak się Piotr zafrasował, czapkę na stół cisnął, i jak stanął na środku izby tak stoi i w głowę się drapie. A córka się zaraz zapaliła na twarzy i powiada:

— Matka to też, Boże odpuść, nie wiedzieć po jakiemu się wyrachowała! Na umieranie ściągła, a tu umieranie, gdzie! Drugi człowiek to i na starość rozumu nie ma. Gdzie tu tera walić dziesięć złotych, a jeszcze nie koniec!

Tak Pietr na nią.

— Cichoj, Franka, nie mamrocz, nie wiesz jeszcze sama do siebie, na co ci przyjdzie, że to miłosiernego serca, proszę łaski pani był, muchy by nie zabił. A jakże! Ano rada w radę, dał zięć stróżowi dwadzieścia i trzy grosze, żeby ta jako zachraniał, aby do czasu, że to niby co drzwi skrzypną, to śmierci patrzeć. Jak mu też te dwadzieścia i trzy grosze dał, tak mnie ino pod sercem ścisnęło. Córka też się złością zajęła, garnek cisnęła pod stół, mało się nie rozleciał, ale że już nic nie mówiła. A co to to nie ma dziwu! Tera tyla pieniędzy wal, tera wykład taki... I żeby to człowiek za to zjadł, albo wypił, ale tak po próżnicy...

Odetchnęła głęboko i otarła pot kroplisty z czoła.

Łyżki strawy żałować to mi nie żałowali, Pan Bóg by mnie skarał, gdybym mówiła inaczej. Co prawda to ta człowiek nie wiele ich tym jadłem skrzywdził. Pochlipał ta parę łyżek, co w misce ostało i już. A co? Takiej to grochowinie to i nie pięknie młodych objadać. Każde lata mają swój porządek. Staremu to ta zarówno, choć i przymrze z głodu, bo i tak się do roboty nie porwie, a młody stanąć musi na każdy czas w swoim obowiązku. Nie skąpili mi ta nigdy, ani zięć ani córka; ale taka utrata...

Przestała mówić i chwiała siwą głową.

— No i cóż dalej?

— Ano co? Przyszła druga zima i nic. Stróżowi się ta podetkło co nie co i — cicho. A mnie ino precz jedno w głowie, że mi się tak nie wyszykowało, jak ja sobie pomyślałam. Ludzkie pomyślenie, głupich pocieszenie... Pókim jeszcze pierza nie zdarła, to co mi się wspomni, to sobie mówię: niech ta! Niech im ta choć poduszczyna po mnie zostanie; ale jakem pierze zdarła.

Aż tu mnie na zezimek znów po kościach łamać zaczęło, kaszel mi się przyplątał, dychawica jakaś...

— Franka! mówię do córki, — już tera będzie koniec, bo i tchnąć za kaszlem nie mogę.

A córka:

— Co ta matce będzie! Kaszel, nie kaszel, jakby kijem za psem ciskał. Że to ją serce gryzło za to podtykanie stróżowi, proszę łaski pani. Tak, nie wymawiając Panu Jezusowi, zaczęłam ja suszyć do Przemienienia Pańskiego. Bo już mnie i wstyd było przed ludźmi. W całych suterynach wiedzieli, żem do dzieci umierać ściągła, co to kto pojrzy na mnie to się dziwuje... A jakże! Z początku to mi ta zięć nie dał suszyć.

— Co ta matce po tym — powiada — Pana Boga kusić! Co ma przyjść to i tak przyjdzie. Teraz na zezimek najwięcej starych umiera, to ta i bez suszenia na matkę trafi.

Ale żem sobie przeperswadować nie dała.

— I pomogło?

— A pomogło! Na trzeci dzień tom tak zasłabła, żem juże stancji zamieść nie mogła, gdzie! ani wody przełknąć. Śmierć moja — mówię i zara mi się lżej na sercu zrobiło.

Umyłam się pięknie, ładnie, oblokłam czystą koszulę, siadłam na progu, paciorek sobie święty mówię i czekam. A tu takie białe chmurki niebem idą, a tu słońce przyświeca, wróble świegocą, że tu już niby wszystko wiosnę poczuło. Jak na to uderzyły dzwony

Stanisława HULANICKA

LIST Z ALGERU

ALGER, za czasów rzymskich zwany Icosium, po arabsku El-Dżezair, jest śródziemnomorskimmiastem, w którym Wschód i Zachód sąsiadują z sobą, z tym jednak, że Zachód wypiera Wschód, wyciska wszędzie swoje piętno.

Kiedy idzie się główną, handlową arterią, równoległą do wybrzeża i pod dwoma nazwami: rue d'Isly i rue Michelet przecinającą wzdłuż miasto, kiedy się widzi różnorodne, bogate sklepy i filie paryskich, wielkich magazynów, nieuniknione „Monoprix'' i „Prix-unique'' w łunie różowych, elektrycznych świateł, kiedy spotyka się wciąż europejską publiczność — biała, zawualowana postać, lub sutymi fałdami spływający burnus — wydają się jakimś anachronizmem!

Orientacja w Algerze łatwa, jakkolwiek miasto jest bardzo rozległe, ciągnie się wzdłuż wybrzeża, a przecznicami pnie po wzgórzach. Te poprzeczne ulice, prawie prostopadłe, składają się często z piętrowych, monumentalnych schodów, ujętych w kwietniki, obramowanych drzewami, które wyglądają jak królewskie stopnie wiodące do ukrytych w górze, zaczarowanych pałaców.

Nowe dzielnice wyrastają na peryferiach miasta, „buildingi'' bardzo moderne ogromnymi, jasnymi bryłami rysują się na błękicie; z balkonów spływają fioletowe kobierce z kwiatów „Bougainvillier''; ciemną zielenią odcinają się pinie, cyprysy, pomarańczowe i cytrynowe drzewa. Palm mało, one królują w oazach, na pustyni. Jakże w porównaniu z tą okazałością miasta — miniaturową wydaje się położona na przeciwległym wybrzeżu francuska Rywiera! Jedna tylko narzuca się uwaga: dlaczego nowe kamienice nie mają arkad ocieniających dawne domy i chroniących przed nielitościwym, letnim słońcem?

Ośrodkiem europejskiego miasta jest plac z Pocztą Główną w stylu maurytańskiego pałacu — serce muzułmańskiego Algeru — to place du Gouvernement. Na tym placu przypominającym św. Marka w Wenecji (bez gołębi i mercerii) wznosi się śnieżno-biały meczet (podobnie jak kościół św. Marka) w bizantyjskim stylu: meczet Dżemaa Dżedid.

Na placu cały dzień panuje ożywienie, krzyżują się ludzie: jedni przechodzą szybko śpiesząc do swoich zajęć, inni powolnym krokiem przechadzają się lub stoją rozmawiając; ławki są zawsze zajęte, chłopcy czyszczący buty i kioski z gazetami i słodyczami nie próżnują. Malowniczość wnosi mnogość strojów: granatowe ubrania francuskich i cudzoziemskich marynarzy, którzy zawinęli do znajdującego się tuż obok portu, wełniane, szare „gandury'' (płaszcze z rękawami) kabilskich górali, wyrudziałe, spalone od słońca, niegdyś białe burnusy mieszkańców Sahary, przybyłych do stolicy; jaśniejący z daleka ponsową barwą wspaniały płaszcz wojskowy „spahi''; burnusy granatowe i bronzowe, z cienkiej wełny niepokalanej białości szaty muzułmańskich duchownych, długie chałaty „dżalaby''; białe muślinowe zawoje otaczające twarz, wysokie turbany pokryte muślinem i opasane bronzową plecionką z sierści wielbłądziej lub kolorowym jedwabiem, czerwone jak maki szaszje, białe, kobiece „haiki,'' w których tonie cała postać — odcinają się od europejskiej, „neutralnej'' odzieży.

W żadnym europejskim mieście nie spotyka się takiego bogactwa, takiej różnorodności typów ludzkich, jak w portowych miastach północnej Afryki; nie na próżno przepłynęło nad tą ziemią tyle panowań: fenickie z Kartaginą, rzymskie, barbarzyńskie Wandalów, grecko-bizantyjskie, arabskie, hiszpańskie, tureckie... Przypłynęły tu dwukrotnie uchodźcze fale żydów po zniszczeniu Jerozolimy za Nabuchodonozora, i po zrównaniu jej z ziemią przez Tytusa; tu schronili się wygnani z Hiszpanii Maurowie. Na place du Gouvernement robi się istny przegląd etnograficzny: oto Berberowie o śródziemnomorskim, europejskim typie, średniego wzrostu i smagłej cery; blondyni z Kabilii, Arabowie o ostrych, suchych rysach i orlim nosie; Mzabici wyróżniający się bladym, nalanym, nieco fenickim obliczem; potomkowie janisserów, o uwiecznionym przez naszych malarzy typie, murzyni z Sudanu, Żydzi, których pomimo różnych odmian można zaraz poznać i na koniec Włosi, Hiszpanie, Francuzi, Maltańczycy, Słowianie, Grecy.

Place du Gouvernement swoim kosmopolityzmem przypomina w zubożałej oczywiście formie starożytne forum rzymskich miast afrykańskich, Kartaginy, Cesarei, Timgadu, gdzie pośród portyków, kolumn i posągów spotykali się ludzie ze Wschodu i Zachodu przybyli.

Na sąsiednim placyku znajduje się katedra na szczątkach dawnego meczetu powstała. Z szarego kamienia, we wschodnim stylu, ozdobiona jest dwiema wieżami, kolumnami i błękitną majoliką. W podziemiach katedry spoczywają zwłoki męczennika, św. Geramino, nawróconego Maura, który za panowania Turków został żywcem zamurowany, ponosząc śmierć za wiarę (1569). Na stopniach katedry bawią się dzieci, wzdłuż murów i pod kratami krużganka zwartym szeregiem siedzą siwobrodzi starcy w dziurawych płaszczach, dzieci w strzępach odzieży, stare muzułmanki — wiek pozwala im nie nosić zasłony „dżar,'' ukazują więc nieprawdopodobnie pomarszczone twarze — siedzą, rozprawiają lub drzemią. Katedra, szeroko rozsiadła, zdaje się po macierzyńsku ich ochraniać, przyjmować — to sąsiadowanie wydaje się jakby zapowiedzią przyszłego zbliżenia. Ta sama familiarność pomiędzy katolickimi instytucjami i muzułmańską ludnością króluje dokoła pobliskiego Arcybiskupstwa, które się mieści w prześlicznym, maurytańskim pałacu, należącym kiedyś do żony jakiegoś beya. Wygląda on jak wieloboczna, geometryczna, biała bryła o różnych, asymetrycznych oknach. W patio (podwórzu) same marmury: posadzka, szemrzący pośrodku wodotrysk kolumny tworzące dokoła straż. Sadzawka otoczona zielenią poprzedza pałac. Na tej ujętej kratą przestrzeni zbierają się czerwone szeszje i białe zawoje i wiodą z sobą jakieś ważne rozmowy. Placyk słusznie nazywa się place Lavigerie. Panuje tu atmosfera, której niewątpliwie życzył sobie wielki kardynał.

Za katedrą pnie się po wzgórzu muzułmańskie miasto: Kasha, labirynt uliczek, zaułków, placyków, mrocznych sklepień, schodów, wilgotnych, ciemnych wnętrzy, czarnych nor służących jako sklepy, w których znajduje się wszystko co tylko wyobrazić sobie można, skończywszy na jakichś, nienazwanych rupieciach i złamkach. Pośród starych, obdartych domów wtulony, schowany jakiś sędziwy, maurytański pałac, tureckie oddrzwia, lub misternie wykonane okna. Na śliskich uliczkach, na schodach kupcy sprzedają piętrzące się stosy owoców i jarzyn: pomarańcze i mandarynki tworzą złociste plamy; bielą się kalafiory, zielenią sałaty, czerwienią pomidory, A wszędzie pomiędzy sklepy wciskają się mniejsze i większe kawiarnie muzułmańskie, przepełnione i gwarne, jak ule. Dokoła stolików niby przylepiony rój much skupieni ludzie wszelkich typów, wieków, odcieni twarzy, w najróżnorodniejszej i nieprawdopodobnej odzieży, która przez czas i zniszczenie zatraciła wszelki kolor i fason. Grają w karty lub w domino. Czasem samotny przy stoliku, zadumany siedzi jakiś sędziwy Arab, o twarzy ascety, z jakąż pogardą patrzy na śpieszących gdzieś współczesnych ludzi... Gra w domino ma w Afryce wielkie powodzenie. Na Saharze w mozabickim mieście Gardai, na placyku przed kawiarnią siedzą na ziemi, w kurzu i upalnym słońcu, starcy o wychudłych twarzach, poważni mężowie z czarnym zarostem i grają w domino!

W Algerze kawiarniani bywalcy też grają, ale nade wszystko rozmawiają, rozmawiają!... Co też oni opowiadać tak sobie mogą całymi dniami? Pewnie o zręcznych kradzieżach, o nożowniczych porachunkach, a kiedy dają ujście wyobraźni o jakichś czarach, dziwach i gusłach! Rozmowy te cofnęłyby nas o wiele wieków wstecz. Materiał to ludzki niesłychanie palny i skory do wszelkich wybuchów! Przecież Alger, miasto tureckie, był jeszcze na początku 19 wieku gniazdem korsarzy, rajem janisserów, targiem niewolników, punktem zbornym renegatów, w przeciągu trzech stuleci postrachem państw chrześcijańskich! Czyż św. Wincenty a Paulo nie był niewolnikiem renegata?

Trzeba wiedzieć z jaką zaciętością, z jakim okrucieństwem biją się wyrostki na ulicach Algeru (a Bóg wie jaka tu chmara uliczników), publiczność rzadko interweniuje. Targają się za czupryny, kopią nogami, silniejszy uderza z całej siły słabszym o mur, lub okłada go rzemiennym pasem zakończonym klamrą. Pokonany powstaje z ziemi i odchodzi, skulony, jak zbity pies, ale nie czuje się w nim oburzenia, wewnętrznego protestu, jaki wywołuje w duszy niesprawiedliwość, on uważa, że wszystko jest w porządku, podporządkowuje się sile i marzy tylko, że kiedy spotka słabszego od siebie, da mu odczuć z kolei swoją przewagę.

Na kawiarnianych stolikach z rzadka widzi się szklaneczkę z kawą, zazwyczaj nic nie stoi. I jeżeli „chauadżi'' (właściciel kawiarni) może się pochwalić liczną klientelą — czy zysk dzienny odpowiada tej wysokiej liczbie?

Niemniej liczne od kawiarni są „stragany-bary.'' Rzecz ciekawa, że w kraju, gdzie tubylcy mało jedzą — mają możność posilać się cały dzień. Stoją w słońcu, przed drewnianą budką — na półmiskach rozłożone są smażone rybki, ziemniaki, gotowane pataty (słodkie kartofle), usypana górka kus-kus z pszenicy; jedzą palcami z blaszanego talerzyka. Obok specjalicja — cukiernik wyciąga rumiane pączki z gorącego oleju, którego mocna woń roznosi się dokoła; inny kraje w cieniutkie paseczki jakieś ciasto, nabywane przez dzieci.

Przechodząc ciemną i wąską uliczką Kasby słyszy się czasem dziecięce głosy zgodnym chórem powtarzające suraty Koranu; przez uchylone drzwi dostrzega się, w niewielkiej izbie, siedzących na ziemi młodocianych uczniów, naprzeciwko nich, równie na ziemi nauczyciel długą pałeczką znaczy rytm. Zdarza się, że laseczka ze świstem spada nagle na palce nieuważnego ucznia. W jakie dalekie stulecia przenosi nas ta lekcja! W podobny sposób uczył się św. Augustyn, który zachował złe wspomnienie o ówczesnej pedagogii.

Na rogach ulic, gdziekolwiek znajdzie się trochę wolnego miejsca przyczajeni do ziemi malcy grają w kości. Wieleż dziesiątków wieków liczy ta niewinna gra!... Grał w nią także dzieckiem będąc św. Augustyn z berberyjskimi i rzymskimi rówieśnikami i — Panie odpuść! — czasem ich, jak się w Wyznaniach kaje — podstępnie ogrywał.!

Zegar czasu na Wschodzie wolniej znaczy godziny, dawne formy nie znikają prędko: dziś jeszcze mieszkańcy Afryki noszą burnusy wzorowane na rzymskich togach, budują domy z wewnętrznym podwórzem przypominającym starożytne, rzymskie atrium; nad meczetami wznoszące się bizantyjskie kopuły, mozajki i metalowe orna-

---

nad miastem... Tak sobie mówię: wieczny odpoczynek racz mi dać Panie, a świetłość wiekuista niechaj mi świeci na wieki wieków amen.

I zaraz mi się same oczy przymknęły, i taka słodkość po sercu mi poszła, jak kiedy się człowiekowi na lekki sen zbierze. Aż tu ktoś idzie, butami stuka. Patrze ja, stróż idzie. Papier niesie, do policji woła, do kancelarii, niby o tę kartę-pobyt... Myślałam, że się ziemia pode mną rozstąpiła, Pietra nie było w domu, córka prała, to ta do niej i nie gadać wtedy wiela, tak weszłam do stancji, stanęłam i stoję, nie mający się zaradzić kogo.

Żeby Pietr w domu był, toby ta stróża czym nie bądź uładził na tę chwilę, a tu już do wieczora byłoby po kramie. Ano nie było Pietra. Stoję ja, medytuję, a córka niesie garnek z ukropem do balii. Tak potrąciła się o mnie i powiada:

— Co matka będzie na drodze stać, jak ta męka pańska, kiedy tu nie ma czasu omijać? Kiedy wołają do cyrkułu ,to iść. Trza było wpierw wymiarkować, jak i co, nie tera, po niewczasie.

— Ano, mówię, twoja prawda.

Takem się odziała chustką, i idę. Pan Jezus Przenajświętszy zapisał sobie tę moją dróżkę... inom się murów chwytała, jak ten pijany, ino mi się mroczki w oczach robiły, a takie zimno i gorąco przeze mnie szło, jakby kto mnie wodą polewał i ogniem parzył. Ano szłam. Jakem też zaszła, tak patrzę, siedzą panowie u stołów, jeden wspaniały w sobie, drugi czarny taki i jeszcze trzeci. Tak się zaraz pokłoniłam i mówię tak i tak. A oni precz rękami machają, nie tu i nie tu... Tak poszłam dalej. Ale i tam mi jeden młody taki powiedział, że nie tu. Tak mnie sobie podawali od stołu do stołu, a ze mnie już ostatnie siły wyszły.

Aż nareszcie zmiłował się jeden taki chuderlawy, i palcem mi do drugiego pokoju pokazał, gdzie siedział sam starszy.

Stanęłam ja przy progu i stoję, a tu nogi ino pode mną dygocą. Tak się starszy odwrócił. Jak się odwrócił, tak zara pyta: „co? jakie dzieło?'' Tak ja mu powiadam wszystko od początku. Wysłuchał i znów pyta: „jakie dzieło?'' Tak ja jemu znów od początku powiadam jakem do dzieci ściągała, jakem karty-pobyt nie wykupowała, że to niby dziś a jutro takiej starocie, jak Pan Jezus Przenajświętszy zapomniał o mnie i precz żyję i teraz mnie tu wołają.

Tak starszy dzwoni. Jak zadzwonił, przychodzi drugi w takich guzikach... Dopieroż mnie się pytać jeszcze raz od początku. Jak mnie też wypytali, tak starszy powiada: no, moja kobieto, należy się od ciebie pięć papierków z połową.

Jak ja to nie usłyszę, jak nie załamię rąk... Pięć papierków! Jezu Chryste! A toć rychtyczek tyla, com na swój pochów Pietrowi dała, kiedym do nich ściągła... Tak zaraz na mnie mdłość uderzyła i o ścianę się jak nieżywa sparłam. Niby stoję, niby skroś ziemi lecę, niby patrzę, niby nie patrzę, a w głowie taki szum, jakby po niej wicher chodził. Pozrywali się ta oni panowie, ten w guzikach po wodę poleciał, ten drugi na krzesło mnie sadzać chciał.

Widzę ja, że taki miłosierny, ludzki pan, tak buch jemu do nóg. Panie! — mówię, — wielmożny panie, wielmożny komisarzu! A skądże ja tyle pieniędzy wezmę? Skądże ja to sierota opłacę? Wielmożny pan spojrzy na mnie! Toć to wiór suchy, kostki, struchlałe próchno. Ledwo się ostatni duch ma po czym kołatać. A toć ja nie zastępuje nikomu nijakiego placu na świecie... Na garsteczce słomy pod piecem legam, wody kapkę wypiję, jak ten wróbel skubnę tej trawy, powietrza też nie ukrzywdzę, bo ledwie dech złapać mogę, ani słoneczka tego, bo w suterynach siedzę, to tam go i nie ujrzysz nawet. Ja wiem, wielmożny komisarzu, że już mi dawno czas na umieranie! A cóż zrobić, kiedy takie twarde życie mam w sobie! Niech mi już ta wielmożny pan odpuści! Daruje! A toć ja sama tej śmierci wyglądam co dnia co godziny... Jużem ja ci ten pobyt zapłaciła Panu Jezusowi na chwałę Jego przenajświętszą. Trzynaścioro dzieci miałam, pochowałam siedmioro, jako tych kwiatuszków bieluśkich, dwóch mi synów w rekruta wzięli, żołnierzyków takich młodziuśkich, że to krew z mlekiem... jeden mi chłopak w rzece utonął, jedna córka do miasta uciekła, jeden najmłodszy spalił się na strychu śpiący, jako ten wróbel pod strzechą... Toż ta Pan Bóg Przenajświętszy już ze mnie wybrał ten pobyt i rodzeniem i żałością i pracą ciężką i głodem i krwawym płaczem i onemi mogiłkami ze żółtego piasku...

Zamilkła, a po jej wyschłej twarzy leciały wielkie łzy, w jasności słonecznej złote, jedna drugą strącając. Zapadłe wargi drżały niedomówionymi słowy, a stara głowa trzęsła się bezmocnie... Zaprawdę, Bóg wybrał już z tej istoty ludzkiej opłatę za „pobyt'' do ostatniego szeląga.

— I cóż — spytałam z cicha, gdy się uspokoiła nieco.

A cóż! Musiałam zapłacić. Pięć papierków, pani moja, jak lodu. A jakże! Jeszcze mi Pietr pół papiera ze swoich dał. Co było na pochów, poszło... Niech im Pan Bóg Przenajświętszy nie pamięta! A to i oni chudziątka niewinni, ino, że takie prawo je... niby przykaz taki...

I teraz handlujecie?

— Gdzie ja ta, proszę łaski pani handluje? Przedałam oną poduszczynę, papiera mi za nią dali i złoty przez pięciu groszy, to zara dwa złote poszło na nową kartę-pobyt, niby od kwartału, a z reszty tak oto człowiek grosza dogania, niby aby w te kary znów nie popaść. A co? Jak takie twarde życie we mnie je, to może jeszcze i ten rok płacić będzie trzeba...

Zapatrzyła się przed siebie, podniósłszy wysoko brwi siwe, wypełzłe i chwiała głową na obie strony jakby w wielkim zdumieniu nad porządkiem świata.

mentacje są rzymsko-bizantyjskiego pochodzenia!

Tylko Zachód pośpiesznie, gorączkowo zaciera ślady przeszłości, charakterystyczne cechy, rozciągając na rzeczy i ludzi seryjny wygląd, „standard.” Dawne ubiory, tak malownicze na tle krajobrazu i bez których nie wyobrażamy sobie Wschodu są wypierane stopniowo z miast — na ogół biorąc widzi się na przepychających się tłumach handlową ulicą Kasby — najdziwaczniejszy zbiór ubrań: wojskowe kurtki i płaszcze, robotnicze bluzy, europejskie ubrania zużyte, zniekształcone, podarte i brudne; różne łachmany nałożone jedne na drugie, kupione za kilka groszy. Czerwona szeszja, wyższa lub niższa, opasana lub nie kolorową szmatą, lub biały zawój są jedyną oznaką muzułmańską.

Podkreślam tę niesłychaną niechlujność odzieży, gdyż ona wraz z różnorodnością typów, istną wieżą Babel miast wschodnich, stanowi charakterystyczną cechę Kasby.

Pisząc o ubiorach mam na myśli mężczyzn, których najliczniej spotyka się na ulicach Algeru; kobiety są wszystkie jednakowo ubrane; białym „haikiem” wełnianym lub bawełnianym okrywa się całą postać od stóp do głów; twarz zasłania „dżar,” widoczne są tylko czoło i oczy czarne, podkreślone umalowaną rzęsą. Taka sylwetka jest wdzięczna, kiedy ukaże się na szczycie schodów — wygląda jak smukła amfora na wysokim piedestale.

Ubiór muzułmański na ulicę zawsze jednaki bardzo upraszcza zagadnienie odzieżowe i budżetowe, niezwykle trudne dla europejki wobec coraz większych wymagań mody. Na tę niewolę europejek zwrócił już uwagę pisarz Muradia Ohsson w dziele „Ogólny obraz Europy Ottomańskiej” (1741): „Mody tyranizujące kobiety europejskie nie mają żadnej władzy nad kobietami Wschodu.”

Najbardziej charakterystycznym typem ulicznym starego Algeru jest żebrak. Właściwie żebraków jest dwa rodzaje: „koczowniczy i osiadły.” Jeden chodzi od domu do domu, stuka do drzwi i w imię Allaha prosi o jałmużnę jakimś śpiewem o powracającej wciąż zwrotce. Kiedy drzwi się nie otwierają — idzie dalej. Widziałam jednego żebraka, starca z siwą brodą w kilku narzuconych resztkach burnusów, które stanowiły jakby dwie czy trzy narzutki, tak wytarte do nitki, przeświecające i postrzępione, że wyglądały jak koronka o wyszukanym deseniu.

W oryginalnym owym stroju starzec szedł z taką godnością i spokojem, tak nieświadomy swego ubóstwa lub pogodzony z nim i ponad nim będący, tak zdawało się rycerski w stosunku do przemożnej Pani-Biedy, że gdyby go widzieli Ojciec de Foucauld i św. Franciszek z Asyżu — napewno by go polubili!

Żebrak drugiego typu siedzi na ulicy, suchy i szary jak zeschły liść, wygląda jakgdyby z ziemią stanowił jedną całość, wyrósł z niej jak przydrożny badyl. Pokryty kurzem, zwinięty we dwoje, z pochyloną ku ziemi głową, nie patrzy na nikogo, nie żebrze, wyciągnięta zaledwie chuda ręka jest skarbonką dla składania datków. Zdaje się, że życie z niego uciekło, wszystkie uczucia wygasły, pokonane, zastąpione przez jakąś ogromną rezygnację: „Insz Allah!”: Jak Bóg chce!

Do tej wychudłej dłoni przechodnie rzucają jałmużnę. Widziałam, jak jeden młody mężczyzna złożył jakiś pieniądz. Sam wyglądał jak żebrak. Miał wytarte spodnie i kurtkę, na bosych nogach podarte pantofle, przez dziurę na łokciu widać było ciało. Ale nie odmówił jałmużny. „Kto daje ubogim — pożycza Bogu” powiada Koran. W ogóle ci ludzie dzielą się chętnie (braterstwo biedy i tradycje starożytnej, patriarchalnej gościnności); nawet dziecko na kilkoro dzieli mandarynkę i daje towarzyszom gry.

Charakterystycznym również typem ulicznym afrykańskich miast jest „czyścibut”, zresztą, nie tylko afrykańskich, lecz w ogóle śródziemnomorskich i tym popularniejszy im bardziej idzie się na wschód. Tych wirtuozów szczotki spotyka się w hiszpańskich i we francuskich miastach, liczniejsi są we Włoszech, w Neapolu i Palermo — więcej ich jeszcze w Atenach i w Bejrucie.

W północnej Afryce roi się od nich. Siedzą rzędem na wszystkich placach, zamożni mają dla klientów wygodne fotele, najubożsi z pudełkiem przewieszonym przez ramię obchodzą kawiarnie. Wśród nich — dzieci, wyrostki, dorośli — sztuka ta dostępna jest dla wszystkich.

„Czyścibut” czuje się panem ulicy, niezbędną, składową jej częścią, przewodniczy jej życiu... Zwinny jak kot, wesoły, sprytny, niefrasobliwy, zadawalający się małym, niezrażony odmową, z uprzejmym uśmiechem nieschodzącym z ust, jest niejako naturalnym produktem południa, słońca, powietrza, tego braterstwa z przyrodą, jakie jest możliwe tylko w ciepłych krajach...

STANISŁAWA HULANICKA

KSIĄŻKI I CZASOPISMA

Akcja Katolicka wśród Polaków w W. Brytanii

PRZED katolikami stoją dziś niezwykłe zadania. Można bez obawy przesady powiedzieć, że są to zadania podobne do tych, jakie stały przed pierwszymi gminami chrześcijan: Oto znów trzeba oddać Bogu całą kulturę i całą cywilizację, która z winy zaniedbań wyznawców przestawszy być od wieków boską, przestała być jednocześnie ludzka. „Obecne warunki tego co się zwie „cywilizacją współczesną” przestały być „ludzkie”: nawet wtedy, gdy je rozpowszechnia najznamienitsza i najżarliwsza elita, orędzie nadprzyrodzone nie napotyka gleby „przyrodzonej,” ale mieszaninę czynników niezharmonizowanych i anarchicznych, które, na ogół, nie mogą stanowić oparcia, a tym mniej fundamentu dla Łaski. Dlatego właśnie zadanie chrześcijan jest tak jasno nakreślone: jeśli nie wyleczą, jeśli nie „usprawnią” instytucji, jeśli nie zastąpią zatrutej atmosfery tego „świata bez duszy” klimatem odpowiednim — ich wysiłek apostolski pójdzie na marne.

„Na to, aby nawrócić świat, nie dość jest być świętym i przepowiadać ewangelię: a raczej: — nie sposób być świętym i żyć według ewangelii, którą się wyznaje, jeśli nie usiłuje się zapewnić wszystkim ludziom takich warunków — mieszkalnych, zawodowych, żywnościowych, wypoczynkowych, kulturalnych bez których życie „ludzkie” nie jest możliwe. Dlatego też misja chrześcijan nie ogranicza się tylko do Apostolstwa, ale łączy harmonijnie potrójną działalność: religijną, obywatelską i społeczną.” (List Pasterski Kard. Suhard).

Są to zadania ogromne na miarę całego świata. Są tak ogromne, że największe wysiłki najlepszych jednostek katolickich — a nawet, jak mówi Kardynał Paryża i całej hierarchii wiszą w próżni, jeśli im nie odpowie *zbiorowa* działalność uświadomionych, *świątłych* katolików. Dopiero ta działalność włączona w działalność hierarchii Kościoła; ta odpowiedzialność każdego świadłego katolika za Kościół, za świat, za swoje środowisko, za swoją pracę, rozrywkę: może dokonać dzieła odkupienia świata, być owym świętopawłowym „dopełnianiem” tego, czego „nie dostawa” męce Zbawiciela. Tą zbiorową działalnością światłych katolików, którzy niejako uzupełniają działalność Jezusa Chrystusa, a więc Kościoła (— bo Kościół jest dalej żyjącym mistycznie Chrystusem Historycznym —) — jest Akcja Katolicka.

Akcja Katolicka jest obowiązkiem każdego katolika.

W Kraju Akcja Katolicka nie może działać, mimo, że przed wojną prace jej rozwijały się tak świetnie. Lecz, jak nasi Czytelnicy wiedzą — powstała i działa Akcja Katolicka wśród Polaków w W. Brytanii. Powstał mianowicie Instytut Polski Akcji Katolickiej (51, Eaton Place, London, S.W.1.), który skupia i koordynuje wysiłki innych organizacji katolickich, włącza je w działanie Akcji Katolickiej i zakłada lokalne koła Akcji Kat. po obozach i hostelach, dostarcza referentów itd.

Instytut wydał broszurę p.t. *„Akcja Katolicka wśród Polaków w Wielkiej Brytanii* (cena 1 sh.).

Polak i Polka, którzy poczuwają się do obowiązku nie tylko utrzymania swej religii i swej polskości, ale pragną aby i najbliższe otoczenie było katolickie i polskie — powinni sięgnąć po tę broszurę. Znajdą w niej potrzebne materiały wstępne do tego wielkiego dzieła, jakim jest Akcja Katolicka, tak wielkiego, iż Pius XI powiedział: „Nie potrafię rozgrzeszyć katolika, który mogąc, nie należy do Akcji Katolickiej.”

Wspomniana broszura przynosi artykuł p.t.: „Czym jest Akcja Katolicka?”, statut Instytutu Polskiej Akcji Katolickiej i wiadomości o jego powstaniu jak i o pierwszym walnym zebraniu Rady Instytutu oraz obszerne streszczenie wszystkich referatów i przemówień wygłoszonych w czasie zjazdu.

Nim ten numer dojdzie rąk czytelników, w Londynie zakończy się właśnie pierwszy kurs Akcji Katolickiej, urządzony przez Instytut dla działaczy i działaczek katolickich w terenie — w dniach od 29 kwietnia do 1 maja b. r. (Szczegółowy program kursu został podany w ŻYCIU, Nr. 14).

Powstanie Instytutu, jego pierwsza działalność w terenie, ogłoszenie drukiem broszury, zorganizowanie kursu — to, na tak niezwykle skromne możliwości Instytutu, bardzo wiele, jako na początek. Zarząd Instytutu składa się z ludzi, o których trzeba powiedzieć, że nie mają wprost życia osobistego, tak są zajęci różnymi pracami zawodowymi i społecznymi, cały sekretariat zaś i dyrekcja to jedna osoba! Samo zorganizowanie kursu, zapewnienie noclegów, wyżywienia, ułożenie programu i przeprowadzenie jego realizacji, to w tych warunkach i przy tak małych środkach, jakimi dysponuje Instytut — przedstawia się imponująco. Zwłaszcza, że dyrekcja Instytutu przewidywała zgłoszenie do 30 osób, zgłosiło się zaś chętnych 65! To ostatnie, jak i korespondencja do Instytutu oraz echa w terenie świadczy dobrze o poczuciu odpowiedzialności dużej gromady Polaków i Polek za nasze środowisko emigracyjne i za jego właściwe miejsce w Ciele Mistycznym Chrystusa. Wspólnie chodzi nam o to, aby ta cząstka jaką jest nasza emigracyjna gromada spełniła jak najlepiej swą rolę, wyznaczoną jej przez Opatrzność. Jako katolicy wierzymy bowiem, że nie tylko względy polityczne sprawiły, iż tak wielka gromada Polaków pozostała poza Krajem, jest to i wola Opatrzności, która ma swoje w tym zamiary. A — tak sądzimy — nie ma chyba lepszej drogi w naszych warunkach odpowiedzenia zamiarom Opatrzności, jak — by w tym kraju dziś protestanckim, a ongiś ofiarowanym Ubogiej Dziewicy, jako jej Wiano członkowie kraju, który nie tylko aktem nadprzyrodzonym, ale i prawnym zamianował Maryję swą Królową — stali się apostołami Tej, „która sama jedna starła wszystkie herezje.”

Na to trzeba jednak nie tylko osobistego, ale zbiorowego wysiłku. I stąd konieczność naszej Akcji Katolickiej. *(pz)*

O małych rozgrywkach i wielkiej polityce

JĘDRZEJ GIERTYCH należy do najpłodniejszych publicystów swego pokolenia i nawet lata wojenne, kilkoletnia niewola nie zahamowały jego pisarskiej pracy. Niedawno wydany, pierwszy tom historii polskiej p.t. *„Polityka polska w dziejach Europy* (Londyn 1947) był pisany w niewoli i wykończony po uwolnieniu. Ostatnia zaś książka p. Giertycha p.t. *„Pół wieku polskiej polityki”* — uwagi o polityce Dmowskiego i polityce polskiej lat 1919—1939 i 1939—1947 (Zachodnie Niemcy 1947) wyszła niespełna rok po ukazaniu się poprzedniej.

Wielką i rzadką wśród dzisiejszych pisarzy zaletą autora jest ambicja do ogarnienia całości naszego położenia politycznego oraz do formułowania wskazań konkretnych i programowych. Autor ma na oku istotne zagadnienia naszego bytu narodowego i stara się je oświetlać z rzetelnym wysiłkiem swojej myśli publicystycznej. Ideałem tego sposobu myślenia jest dla p. J. Giertycha Roman Dmowski, którego styl działania nazywa „sztuką prowadzenia wielkiej polityki” (str. 7). Temu stylowi politycznemu przeciwstawia Giertych „sztukę prowadzenia rozgrywek politycznych.”

Tylko tę ostatnią sztukę zdaje się on widzieć w ośrodkach naszej współczesnej aktywności politycznej, nie wyłączając nawet jego własnego Stronnictwa Narodowego. Szczególnie wyraźnie a ujemnie wypowiada się on o naszym przywództwie politycznym podczas wojny na str. 183 swojej książki. „Nie mieliśmy — pisze tam — przez cały czas wojny, politycznego kierownictwa na wyższym poziomie — ani nasze kierownictwo, ani tym bardziej nasze masy, nie rozumiały się na wielkiej polityce. Ale wszyscy instynktownie rozumieliśmy rzeczy elementarne.” Tak krytyczna postawa p. Giertycha zdaje się być zdrową reakcją na styl polityczny, w którym wewnętrzne rozgrywki taktyczne wyczerpują niemal całość energii przywódców, a przysłaniają właściwy cel polityki narodowej. Autor chciałby przesunąć kierunek zainteresowań na teren właściwych zagadnień „wielkiej polityki.” Odwoływanie się do autorytetu R. Dmowskiego miałoby dźwignąć na wyższy poziom te główne ośrodki, które — jak Stronnictwo Narodowe — poczuwają się do obowiązku kontynuowania tradycji tego znakomitego polityka.

Dalszą zaletą książki *„Pół wieku polskiej polityki”* jest żywe i głębokie poczucie autora, że sytuacja, wytworzona w wyniku minionej wojny, nie jest trwałym i ostatecznym wyrokiem historii, ale jedynie etapem nieukończonego procesu wielkich przemian. Dlatego też p. J. Giertych odbija korzystnie zwłaszcza od histerycznej publicystyki pewnych zasiedziałych londyńczyków, których wywody, gdyby były traktowane poważnie, prowadzić by musiały najczęściej do samobójczych myśli. J. Giertych nie tylko nie przyłącza się do tego chóru chorobliwej pseudorealistyki, ale formułuje konkretne wytyczne polityki polskiej i posiada jasną wizję przyszłości (w szczególności str. 254—259).

Wszystko to należy stwierdzić po przeczytaniu książki „Pół wieku polskiej polityki,” nawet nie zgadzając się z bardzo wieloma tezami autora, dotyczącymi przeszłości.

Z. B

„Dziatwa”

DZIECI nasze w szkołach angielskich języka polskiego się nie uczą. I nie tylko nie wchodzi on w zakres nauki szkolnej, ale nie jest używany nawet w rozmowie potocznej. Kierownicy szkół bowiem, kładąc nacisk na jak najszybsze opanowanie angielskiego, jako języka wykładowego, zabraniają w tym wypadku słusznie, dzieciom polskim używania polskiego języka nawet w rozmowach koleżeńskich między sobą.

Rodzicom także zależy na szybkim opanowaniu przez dzieci angielskiego, który jest podstawowym warunkiem nauki szkolnej, dlatego i ze swej strony kładą nacisk na angielski. Wynikiem bywa, najczęściej, — całkowite zaniedbanie języka ojczystego.

Aby temu zapobiec nie wystarczy dzieciom używanie własnego języka na terenie domu, w czasie wakacyj, czy nawet w codziennym obcowaniu z własnym środowiskiem. Dzieci nasze powinny w miarę możności pisać i — co zresztą łatwiejsze — czytać we własnym języku. Temu celowi służą m. i. wydawnictwa polskie przeznaczone dla młodzieży.

Bardzo pożyteczną rolę w tym zakresie spełnia pismo dla dzieci p.t. *„DZIATWA.”* Miesięcznik ten jest wydawany przez Komitet Wydawniczy przy Zjednoczeniu Polskim, w którego skład wchodzą następujące instytucje: Towarzystwo Pomocy Polakom, Zjednoczenie Polskie, Związek Harcerstwa Polskiego, Światowy Związek Polaków z Zagranicy oraz Towarzystwo Przyjaciół Dzieci i Młodzieży. Redaktorem jest p. M. Gryziewiczowa. *„DZIATWA”* jest w pewien sposób kontynuacją pisma o tym tytule, które w r. 1944 i 1945 ukazywało się na terenie Włoch przy 2 Korpusie i było wydawane przez tamtejszy Czerwony Krzyż.

Od stycznia b.r. ukazuje się znowu tym razem na terenie Anglii, przy finansowym udziale wymienionych insty-

DOKOŃCZENIE OBOK

ZWRACAMY UWAGĘ WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW
na nasz nowy adres:
„ŻYCIE", 12, **Praed Mews**, LONDON, W.2.
*
PROSIMY UPRZEJMIE O PRZEKAZYWANIE NAM
WSZELKICH WPŁAT
Postal Orderami, Money Orderami, Czekami bankowymi „crossed," wystawionymi na:
VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE

Prasa amerykańska

PRASA AMERYKAŃSKA jest olbrzymem. Wydania niedzielne gazet mają po kilkaset stron, a obliczono, że dokładne przeczytanie niedzielnego wydania „New York Times" zajęłoby 3—4 dni. Ogólny nakład prasy USA przekracza znacznie 50 milionów. Dochody z ogłoszeń przewyższają miliard dolarów rocznie. Ale mimo to wpływ tej prasy jest ograniczony. Przykładem jest Hearst. Mając najpełniejsze poparcie swego koncernu kandydował na burmistrza Nowego Jorku, senatora i prezydenta USA — zawsze bezskutecznie McCormick w Chicago jest dyktatorem prasowym Środkowego Zachodu, a jednak tylko wyjątkowo zwyciężali kandydaci, których on popierał. A odwrotnie Roosevelt w wyborach r. 1940 miał przeciw sobie 85% prasy — i wygrał. Jednym z powodów może być, że tylko 15% czytelników w USA interesuje się artykułami wstępnymi. Większy wpływ polityczny ma jedynie „New York Times," o nakładzie stosunkowo niewielkim (500.000), ale posiadający najbardziej elitarnych czytelników.

...tucji. W celu zapewnienia pismu podstaw materialnych wydawnictwo „DZIATWY" zabiega o zdobycie możliwie jak największej liczby płatnych prenumeratorów.

Pismo jest dwubarwne, posiada bardzo estetyczną szatę graficzną, wiele ilustracji oraz staranny dobór treści, dostosowanej do młodocianych zainteresowań; wśród autorów najlepsze pióra (M. Czuchnowski, Z. Nowakowski, T. Nowakowski, J. Radzymińska i inni).

Zasadniczym szczegółem w sposobie redagowania miesięcznika jest utrzymanie pisma w tonie polskich obyczajów i tradycji, a tym samym wyraźna i zdecydowana linia utrwalenia łączności z kulturą polską. Treść spotykanych utworów dobrze zastosowana jest do określonego wieku czytelników — od siedmiu do dwunastu lat.

Pismo redagowane jest z wielkim wdziękiem. Zachęcamy wszystkich rodziców, aby dawali je do rąk swym dzieciom. Cena jest naprawdę nie wysoka — 9 d. za egzemplarz, a 2/6 za kwartał. Podajemy adres Administracji, gdzie można „Dziatwę" zamówić: c/o Federation of Poles, 19, Redcliffe Square, London, S.W.10.

KATOLICKI FUNDUSZ WYDAWNICZY

zawiadamia, że z dniem 1 maja 1948 r. wstrzymuje wysyłanie książek i prosi o kierowanie nowych zamówień na wszelkie wydawnictwa i książki katolickie pod adresem:

„VERITAS" FOUNDATION PUBLICATION CENTRE
12, Praed Mews, LONDON, W.2.
tel.: PADdington 9734.

Aktualni abonenci Katolickiego Funduszu Wydawniczego otrzymają ostateczne rozliczenia swych kont. Korespondencję dotyczącą likwidacji kont oraz wszelkie należności należy kierować pod adresem: Ks. Stanisław Bełch, 21, Earls Court Square, London, S.W.5.

„Dwaj ludzie we mnie”

dokończenie ze strony 1

człowiekowi współczesnemu, ten, którego nie daremnie poeta narodu najskuteczniej kuszonego nazwał „Duchem Zaprzeczenia”: „der Geist der stets verneint.” Tak jakgdyby samo zaprzeczenie nie świadczyło Prawdzie. Tak jak gdyby można było unicestwić *coś, co jest*, słowem — egzorcyzmem: „Zgiń, przepadnij!” Tak jak gdyby można było wypruć z siebie własną duszę, która naprzekór najsubtelniejszym teoriom nazywa dobre — dobrem, a złe — złem. Tak jak gdyby prawo moralne było wymysłem człowieka, nie zaś jego częścią integralną, wyrytą na cielesnych tablicach serca!

To też każdy kryzys moralny idzie w parze z kryzysem jednostki. Zaprzeczając grzech, człowiek musi *ipso facto* abdykować z własnej duszy. I to jest zbrodnia nad zbrodniami, najstraszliwszy triumf zła.

Trzeba perspektywy Bożej, by zrozumieć grzech, tak jak trzeba znać Boga, by zrozumieć człowieka. Czyż obraz nie tłumaczy się oryginałem, czyż skaza na obrazie nie godzi w oryginał? Dopiero na tym planie znajdujemy klucz do tej wielkiej niewiadomej, jaką jest grzech: *mysterium iniquitatis* — tajemnica nieprawości.

Bóg stworzył człowieka na swoje podobieństwo, stworzył go *dla* siebie: „fecisti nos *ad te*, Domine, et irrequietum est cor meum donec requiescat in te”: „Stworzyłeś nas dla siebie, Panie, i nie zazna spokoju serce moje dokąd nie spocznie w Tobie...” Oto *magna charta* naszej kondycji stworzenia, skrót naszych przywilejów i obowiązków.

Bóg jest początkiem naszym i celem i cała nasza natura garnie się ku niemu nieodpartym ruchem koncentrycznym. Wszelako jesteśmy wolni i stać nas na ruch odśrodkowy. Naszemu Stwórcy możemy rzucić: „nie,” obraz może zmąci w sobie rysy prawzoru. Cały problem naszej wolności, poniekąd tragicznej, leży w wyborze pomiędzy ruchem *do* i *od*środkowym. Scholastyka ujmuje to lapidarnie w dwa słowa: *conversio* ad Deum, *aversio* a Deo: *Nawrócenie* do Boga, *odwrócenie* od Boga. Iż zaś wolność nasza sprawuje się w czasie, bez przerwy musimy wybierać: za lub przeciw Bogu; wciąż i wciąż musimy *nawracać*, żeby nie *odwrócić*. Przedwcześnie zmarły, polski poeta Jerzy Liebert wyraził ten konflikt w przepięknym wierszu „Jeździec niebieski”:

„... uczyniwszy *raz jeden* wybór
„*w każdej chwili* wybierać muszę...”

Aż dopóki śmierć nie utwierdzi nas na zawsze w wyborze ostatniej naszej chwili. *Całym życiem zarabiamy na śmierć.*

Grzech jest więc z istoty swej *decentralizacją, zachwianiem równowagi, naruszeniem ładu.* Czymżeż tłumaczy się ten absurd jego siły przyciągania wbrew prawu naszego wewnętrznego ciążenia?

Uzupełnijmy definicję scholastyczną: *aversio* a Deo, *conversio* ad creaturam. Odwrócenie od Stwórcy, nawrócenie do stworzenia. Wszelki grzech sprowadza się ostatecznie do jednego: mając wybrać między Bogiem a stworzeniem, wybieramy stworzenie *wbrew Bogu*.

Nie znaczy to jakoby z natury rzeczy istniał konflikt między Stwórcą i stworzeniem, które wszakże wyszło z jego rąk „valde bonum”: nader dobre. Człowiek sprawujący nad nim włodarstwo, ma prawo i obowiązek miłować je i cenić. Byle na *swoim miejscu*, a więc *po* Bogu. Grzech łamie ten porządek, stawiając takie czy inne stworzenie mocą woli naszej stworzone, *ponad* Boga i jego Wolę. Choćbyśmy mieli do dyspozycji raj, zawsze jakoweś drzewo wiadomości dobrego i złego stanie się próbą naszej wolności. Dlaczego? Dlatego, że Bóg, będący Miłością, pragnie naszej miłości, zaś miłość domaga się wolnego wyboru, wolnego „tak.” Zaś tam, gdzie jest wolne „tak,” może być również „nie.” Grzech jest owym „nie” rzuconym w twarz miłości Bożej.

PIOTR KMITA

Na obcej ziemi i w obcym kraju Pamiętaj bracie o Trzecim Maju!

LISTY DO REDAKCJI

Nikaragua i powołania

Od r. 1946 spotykałem się w Anglii, po różnych obozach i poza obozami, z dość licznym zastępem powołań kapłańskich w szeregach byłych żołnierzy. Byli i tacy, którzy rozpoczęli swe studia przed wojną i obecnie chcieli je podjąć na nowo. Inni, których myśl dopiero obecnie otwierała się na takie horyzonty; inni znów mieli za sobą inne doświadczenia. Jedni chcieli kapłaństwa świeckiego i to daleko w świecie, inni zakonnego życia raczej. Jedni posiadali już cenzus przygotowawczy, inni go jeszcze nie mieli. Osobiście mogłem takich aspirantów różnego wieku, przygotowania i stanu naliczyć koło piętnastu. Rzadko otwierały się przed niektórymi wrota jakiegoś klasztoru w Anglii i można powiedzieć, że marnieją, lub są w drodze do zmarnowania te szlachetne zapędy i bolesne dla niektórych wprost potrzeby duchowe. Kto się nimi zajmie, kto im rękę poda?

Wprawdzie przed rokiem słyszałem, że ma powstać jakiś angielsko-polski komitet opieki i pomocy dla powołań polskich w W. Brytanii, ale słych o tej inicjatywie zaginął zupełnie.

Nie poruszając tu zasadniczych kwestii tych powołań i ich wartości, myślę, że zrobię dobrze, jeśli podam do wiadomości takich aspirantów, że — o ile prawdziwie wieść niesie — jest biskup dalekiego kraju, który w rozległej swej diecezji mało ma księży, a księży bardzo potrzebuje i chętnie, zdaje się, gotów jest przyjąć tych, co zechcą się pracy apostolskiej w jego kraju i pod jego władzą poświęcić.

Jest to J. E. Ks. Biskup Dr C. Borge C. Granada, *Nicaragua*, Ameryka Centralna. Zapewne, trzeba się tu namyślić, bo kraj na ogół tropikalny, choć są wody i góry. Ale praca nie byłaby niewdzięczna. Pamiętać przy tym należy, że dzieło misyjne samo w sobie jest bardzo wysokiej wartości. Sprowadza na swój kraj i na wzrost i wartość powołań rodzimych bardzo wiele błogosławieństwa boskiego ten, który się temu oddaje. (Tak przynajmniej słyszałem). Zainteresowanym chętnie służyć mogę bliższymi informacjami. Wprawdzie nie posiadam z tego zakresu żadnych legitymacji specjalnych, ale zdarzyło mi się zasięgnąć nieco wiadomości.

Łączę najpiękniejsze ukłony

Antoni Filipiak

*

P.S.

Według The South American Handbook, z 1947 r. Nicaragua jest największą z republik środkowo-amerykańskich, granicząc z Honduras, morzem Karaibskim, Costa Rica i Oceanem Spokojnym. Od strony Atlantyku ma 300 mil wybrzeży; od strony Oceanu Spokojnego (Pacyfiku) 200 mil. Dwa łańcuchy górskie przebiegają Nicaraguę, stąd wielka rozmaitość klimatu i produktów. Wyż i górskie okolice są zdrowe i żyzne, wybrzeża zaś tropikalne. Wiele ze szczytów górskich to dawne wulkany wygasłe. Jeden jest tylko wulkan czynny, a mianowicie podwójny krater na wyspie Jeziora Nikaragua. Jezioro to jest o długości 92 mil i szerokości 34, żaglowne; jezioro Managna połączone z rzeką Tipitapa ma 32 mile długości i 10—16 mil szerokości. Na wschodzie częsty i obfity deszcz, na zachodzie kraj suchy.

Ludność jest przeważnie pochodzenia mieszanego hiszpańsko-indiańskiego, choć też jest i odrębna grupa krwi czysto hiszpańskiej. Są również importowani niegdyś murzyni. Spis ludności wykazuje 1.059.800 dusz, z których połowa jest jeszcze niepiśmienna. Katolicyzm przeważa. Nikaragua posiada jednego arcybiskupa i 4 inne diecezje. Konstytucja z 1939 r. zupełnie wolnościowa ustanowiła dwuizbowy kongres z członków wybranych na 6 lat. Prezydencka kadencja jest również sześcioletnia. Oprócz tego gabinet składa się z 9 ministrów.

Produkty są przeważnie natury rolniczej, kawa na zachodzie, banany na wschodzie. Oprócz tego ryż, kukurydza, cukier, skóry, srebro i bawełna i t.d. 12 większych miast, z których stolica Managna posiada 120 tys. mieszkańców. Miasto Granada nad jeziorem Nicaragua posiada kolej żelazną, 22 tys. ludności, dostawy cukru, kawy, kakao, skór, bawełny etc. Tyle jest chwilowych informacji. W W. Brytanii Nicaragua posiada posła pełnomocnego i konsulaty w Londynie, Manchester i Liverpool.

Antoni F.

Wyjaśnienie p. J. Giertycha

Szanowny Panie!

Pragnę skorzystać z łamów ŻYCIA, by poinformować opinię katolicką o rzeczy następującej:

Z kilku stron doszły do mnie zapytania, jak to jest możliwe, bym głosząc publicznie potrzebę nieskazitelności katolickiego życia rodzinnego, równocześnie podejmował się, jako adwokat, prowadzenia spraw rozwodowych.

Pragnę wyjaśnić, że zachodzi pomyłka co do osoby. Nie podejmuję się spraw rozwodowych, gdyż nie jestem w ogóle adwokatem. Kancelarię adwokacką prowadzi w Londynie mój kuzyn, były sędzia okręgowy z Gdyni, Jerzy Giertych, podczas, gdy mnie jest na imię Jędrzej.

Z poważaniem

Jędrzej Giertych

Londyn, 20.4.1948.

W sprawie Ks. W. i p. Petrykowskiego

Drodzy Panowie,

Żałuję, że tak późno przychodzi do nas „Życie.” Chyba poproszę (no i oczywiście zapłacę), by mi je przysyłano pocztą lotniczą. Chodzi mi bowiem tyle w równym stopniu o przyswojenie sobie znakomitej na ogół treści numerów, jak i o nadążenie w dyskusji jakiej od czasu do czasu przysłuchuję się z żywym zainteresowaniem — a czasem i ze złością. Dziś jestem po prostu zły. Zły na autora „O co naprawdę chodzi” i wybaczcie, ale jestem zły i na Panów Redaktorów. Na Panów Redaktorów, bo umieściliście ten artykuł i to tak honorowo, na pierwszej stronie! Znajduję, że jest to nie podjęcie dyskusji na temat tak pięknie i stylistycznie i rzeczowo przez ks. W. napisany, który ja bym bez wahania zatytułował Pawłowym powiedzeniem „Miłość Chrystusowa przyciska mnie,” lecz jest to obraza polskiego duchowieństwa, jest to chęć ośmieszenia ks. W. i wytknięcia mu — jakież to dla ks. W. krzywdzące — że działa przeciw wyrokom Stolicy Apostolskiej.

Nie znam p. H. Petrykowskiego i nigdym o nim nie słyszał — i nie chcę go tu obrażać, lecz muszę z całym naciskiem podkreślić, że ani w ząb nie zrozumiał wywodów ks. W.

Wszyscy prawie księża polscy katolicy i prawosławni zwolnieni z Rosji przeszli, że tak powiem, przez moje ręce w Persji. Z każdym rozmawiałem i wszyscy zgodnie twierdzili, że w Rosji nie tyle głód chleba jest wielki, lecz przede wszystkim Boga. Ani jeden z nich nigdy nie twierdził, że nadchodzi doskonała okazja, by ich nawrócić na wiarę rzymsko-katolicką, lecz wszyscy twierdzili — z uniesieniem, że zbliża się dawno oczekiwana i tak długo wypraszana u Boga — sposobność nawrócenia Rosji na *katolicyzm*.

Dlaczego ks. Prał. Cieński pragnął dobrowolnie zostać w Rosji? Dlaczego ks. F., ks. K. (a może i inni) d o b r o w o l n i e zostali w Rosji. Bo „żal im było ludu” — a wielką krzywdę im czyni, kto by ich pomawiał, że zostali, aby szerzyć obrządek rzymsko-katolicki. Kto z prawdziwych Apostołów i męczenników — zważałby na tak nieistotną rzecz — jak obrządek — gdy chodzi o tak wielką sprawę?

Ja sam bez cienia wahania porzuciłbym obrządek rzymsko-katolicki — by Panu i Jego ludowi — jeśli by to było lepsze dla Sprawy rozszerzania Jego Królestwa — służyć w obrządku wschodnio-katolickim. Więc jeżeli to samo można wyczuć w artykule ks. W. (nie byłem więc daleki od tego, cozwiemy „obrządkiem wschodnim”), to jak może pisać p. Petrykowski, że ks. W. podniósł przyłbicę i zapewnił: „nie pragniemy, aby kiedykolwiek Rosja była katolicka w obrządku wschodnim.”

Nie — Panie P. — ks. W. tego nie powiedział. On tylko się oburza na tych, którzy twierdzą, że kapłani polscy nie nadają się na misjonarzy Rosji i udowadnia, że wiele zrobił dla dusz Rosjan pragnących Boga a napewno nie wszystkim się pochwalił, a przede wszystkim nie mógł podać, co wszyscy polscy księża w Rosji zrobili w tej dziedzinie. Może dla sceptyków, wątpiących w wartości misjonarskie polskich kapłanów przytoczyć słowa Żukowa!

— „Tego; coście u nas zrobili dla wiary, nie będziemy mogli odrobić ani przez lat pięćdziesiąt (podając sens — nie dosłownie!).

A przecież to wszystko robili pokryjomu! Wobec tego ile będą mogli zdziałać polscy — właśnie polscy misjonarze w Rosji — gdy pójdą tam jako wolni — i będą mieć pełną swobodę działania.

A poza tym — miałbym ochotę zrewanżować się p. Petrykowskiemu anegdotą również jak jego znaną i starą: o skórze niedźwiedzia.

Dużo bym miał jeszcze do napisania, lecz nawet tego com napisał pewnie nie wydrukujecie. W każdym razie — bardzo proszę — o ile tego nie umieścicie w Waszym pięknym tygodniku — to bądźcie uprzejmi doręczyć to ks. W. (szkoda, że nie znam jego nazwiska) wraz z moim szczerym zapewnieniem całkowitej z nim w tej sprawie solidarności.

Ks. S.

(Nazwisko i adres znane Redakcji)

Nairobi, Kenya

Płytka i nierzeczowa dyskusja

Londyn, 15 *kwietnia*, 1948.

Do

Redakcji „Życia”

W związku z dyskusją toczącą się na łamach „Życia” proszę uprzejmie o umieszczenie następującego listu:

Sprawa Unii Kościołów jest sprawą poważną, posiadającą swoją historię i literaturę naukową. Tymczasem na łamach „Życia” toczy się dyskusja na ten temat powierzchowna, płytka, nie posługująca się argumentami rzeczowymi.

Czytelnicy „Życia” nie są zainteresowani wycieczkami osobistymi autorów, zwłaszcza w rodzaju ostatniego artykułu Ks. W. Niewątpliwie sposób prowadzenia dyskusji odzwierciedla poziom kultury i dyscypliny wewnętrznej.

Czytelnicy czekają na argumentację poważną. Redakcja zechce zwrócić uwagę, że fakt powyższy obniża ogólny poziom pisma i spłyca samo zagadnienie dyskutowane. Kultura jednak polemiki powinna obowiązywać zwłaszcza w piśmie katolickim.

Łączę wyrazy poważania

Dr A. Grintowt

90, Clyfford Rd.,
Ruislip Gdns.

P r e n u m e r a t a : miesięcznie 2 szylingi, kwartalnie 6 szylingów. **O g ł o s z e n i a :** 1 cal przez 1 łam — £ 1, w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Drobne: 1 wiersz — 6 pensów. Administracja z a s t r z e g a s o b i e p r a w o n i e p r z y j ę c i a o g ł o s z e n i a. Redakcja r ę k o p i s ó w n i e z w r a c a. Adres redakcji i administracji: ŻYCIE, 12, P r a e d M e w s, L o n d o n, W. 2. T e l. : PADdington 9734. Redakcja przyjmuje w poniedziałki i piątki — od godziny 11 do 12. Administracja czynna codziennie za wyjątkiem niedziel i świąt — od godziny 9 do 12 i od 2 do 5.

Published by VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE.
Printed by M. Caplin and Co. Press Ltd.
15. Dunheved Road North, Thornton Heath, Surrey. Tel. THO 2727.